CZWARTEK
Nr 155 29 XII 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKOW

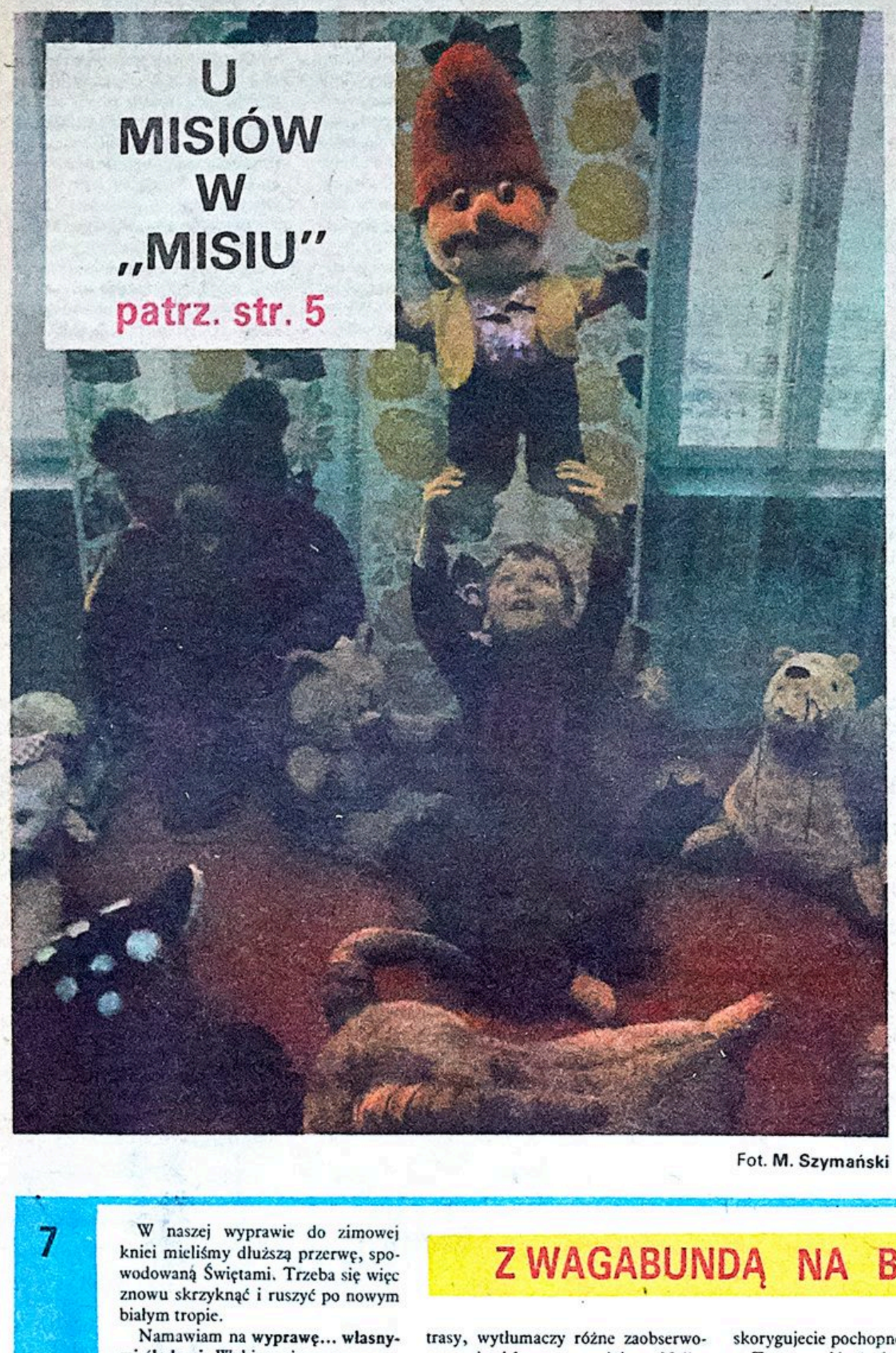

U MISIÓW W „MISIU"

patrz. str. 5

Fot. M. Szymański

W następnym numerze oprócz mnóstwa atrakcji (m.in. spotkanie z Kaczorem Donaldem!) znajdziesz jeszcze jeden prezent – kalendarz na nowy 1984 rok!

Konkurs pt. „DROGI DO WOLNOŚCI" rozwiązany!

Główne nagrody zespołowe zdobyły – koło Przyjaciół ZBoWiD przy ZSR w Głubczycach i harcerski szczep „Słoneczny" przy Zbiorczej Szkole Gminnej w Skale!

Puchar naczelnika ZHP otrzymuje drużyna harcerska przy Szkole Podstawowej w Tyniowicach!

Na konkurs „Drogi do wolności" wpłynęło w sumie 15 908 prac. W pierwszej części pt. „Kronika Wojennych wydarzeń" wzięło udział 3284 młodych reporterów.

Komisja konkursowa (zbierała się dwukrotnie) wytypowała pięć prac, których autorzy na zaproszenie Głównej Kwatery ZHP i Głównego Zarządu Wojska Polskiego przyjadą do Warszawy na dwudniowy pobyt, a 160 uczestników obu części konkursu otrzyma nagrody rzeczowe.

Szczegółową listę nagród wydrukujemy w jednym ze styczniowych numerów. **(wm)**

Kazimierz Gołba i Obrońcy Katowic patronami katowickiej ulicy i placu

KATOWICE (Inf. wł.) Po wielu latach społecznych zabiegów, mających na celu upamiętnienie najbardziej zasłużonych obywateli miasta, w litopadzie br. uchwałą Miejskiej Rady Narodowej w Katowicach nadano nowe nazwy niektórym ulicom i placom.

Jedna z ulic nosić będzie imię Kazimierza Gołby – poety, prozaika, dramaturga, nauczyciela prowadzącego w czasie okupacji tajne nauczanie, autora znanej książki „Wieża Spadochronowa", jednego z pierwszych inicjatorów postawienia pomnika bohaterskim harcerkom i harcerzom śląskim poległym w obronie Katowic we wrześniu 1939 roku. Placowi natomiast, na którym stanął Pomnik Harcerek i Harcerzy Śląskich poległych w latach 1939–1945, nadano miano Obrońców Katowic. Stało się to za sprawą członków Społecznego Komitetu Budowy Pomnika, którzy poza wzniesieniem samego monumentu zabiegali również o pamięć dla wybitnych katowiczan, którzy położyli w przeszłości niemałe zasługi dla swojego miasta.

(kk)

Nie tylko w Kampinosie

KATOWICE (Inf. wł.) W lasach rybnickich zauważono ostatnio rodzinę łosi – rosłego byka z okazałymi rosochami (porożem), klępę i młodego jednorocznego łoszaka.

Naturalne ostoje tych pięknych zwierząt znadują się daleko od Śląska, na podmokłych, a nawet bagnistych terenach leśnych północnej i wschodniej Polski, przede wszystkim zaś w Kampinoskim Parku Narodowym, toteż pojawienie się łosi w lasach rybnickich zostało potraktowane przez miejscowych leśników jako swoistego rodzaju przyrodnicze wydarzenie. **(kk)**

KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

TU KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW

Powtarzamy zadania klubowe, nadane w audycji „Latającego Holendra", którą oglądaliście we wtorek 20 grudnia o godzinie 16.00.

1. W 1976 r. w regatach OSTAR wystartował największy dotychczas na świecie jacht, prowadzony przez wybitnego francuskiego żeglarza. Podaj nazwisko żeglarza i nazwę jachtu.

2. Połącz nazwiska żeglarzy z nazwami jachtów, na których pływali: Alec Rose, Eric Tabarly, Robin Knox-Johnston; „Pen Duic", „Suhaili", „Lively Lady".

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem: **Redakcja „Latającego Holendra" przy Gdańskiej TV, ul. Sobótki 15; 80-247 Gdańsk. Na kopercie należy napisać hasło: Odpowiedzi na zadania. (wm)**

NA TRAPERSKIEJ ŚCIEŻCE

7

Z WAGABUNDĄ NA BIAŁYM TROPIE (c.d.)

W naszej wyprawie do zimowej kniei mieliśmy dłuższą przerwę, spowodowaną Świętami. Trzeba się więc znowu skrzyknąć i ruszyć po nowym białym tropie.

Namawiam na **wyprawę... własnymi śladami**. Wybierz się ze swym zastępem na wyprawę **wieczorem**, gdy będzie ciemno, z latarkami; a potem dokładnie tą samą marszrutą – **w dzień**, w pełnym świetle.

To jasne, że pierwszą część – nocną – tej wyprawy odbędziecie **z kimś dorosłym**, kto nie tylko zaopiekuje się Wami, ale także pomoże w wytyczeniu trasy, wytłumaczy różne zaobserwowane zjawiska, tropy, odgłosy. Najlepiej, aby był to jakiś **„człowiek lasu"** – gajowy, pracownik nadleśnictwa, myśliwy – lub nauczyciel biologii. Ale także znający miejscową knieję ojciec lub dziadek któregoś z Was. Porównacie potem swoje nocne obserwacje z tym, co odkryjecie we dnie; utwierdzicie się w swoich przekonaniach lub skorygujecie pochopne wnioski.

Trasa musi być tak wybrana, byście mogli np. przeprowadzić nocne **obserwacje astronomiczne** (spróbujcie odszukać Oriona) i spotkać jakieś **zwierzęta żerujące w nocy**.

Oczywiście – trasa nocnej wyprawy nie może być długa, nie można jej przeprowadzać przy temperaturze poniżej 10°C, a rodzice muszą być dokładnie poinformowani o marszrucie i znać **dokładną godzinę powrotu z wyprawy**.

Nie zapominajcie – **Słońce** weszło już w znak Koziorożca: **od 22 grudnia trwa astronomiczna zima**. Dnia przybyło – „na Nowy Rok – na barani skok". A właśnie – ten „barani skok" to ile minut?

WAGABUNDA

JĘZYK LUDZI LASU (c.d.)

CIEC – o kurakach (kuropatwach, bażantach); przemykać się pieszo po cichu, bezszelestnie umykać.

CMOKAĆ – o wiewiórce: wydawać głos, odzywać się. „W olszynie głośno zachrobotała wiewiórka, cmoknęła parę razy i pobiegła po gałęziach".

JAZGOT – ujadanie psów, wilków.

KUFA – pysk, morda psa myśliwskiego.

KWIATEK – także BUKIET – ogon sarny.

PĘDZELEK – kępka długich włosów na końcach uszu niektórych zwierząt np. rysia, wiewiórki.

OKULARY SZCZELINOWE

Wspomniałem w poprzednim odcinku o okularach szczelinowych. W czasie marszu i przebywania na rozległych przestrzeniach silnie odbijających blask słoneczny, okulary takie zabezpieczają nas przed porażeniem wzroku i zapaleniem spojówek. Można je zrobić z kartonu lub nieprzeźroczystego cienkiego plastiku. Do zamocowania okularów posłuży nam gumka lub cienki szpagat. Rozmiar dobierzesz doświadczalnie. „Żaluzjowate" szczeliny – również; w zasadzie nie powinny one mieć więcej niż 4 mm szerokości.

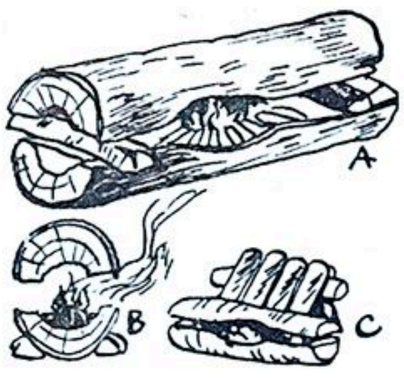

TRAPERSKIE ZIMOWE OGNISKO BIWAKOWE

Wypróbuj na jednym z najbliższych biwaków zastępu taki typ ogniska, jaki pokazuję na rysunku. Potrzebny jest do tego okrągły przepołowiony pniak suchego drewna, lekko wyżłobiony od wewnątrz (patrz rys. A). Zastęp bez trudu uzyska takie dwie szczapy od gajowego. W wydrążeniu między połówkami pniaka, oddzielonymi od siebie kawałkami grubszej gałęzi (rys. B), pali się niewielki ogień, umożliwiający ogrzanie się i podgrzanie przyniesionych zapasów żywności. Dodatkowy „reflektor" (rys. C) odbija ciepło na zgromadzony w półkole zastęp. Pamiętajcie: zimą obowiązują takie same przepisy przeciwpożarowe jak latem – ognisko można rozpalać w odległości co najmniej 100 metrów od zwartej ściany lasu.

Jak przebiega pierwsze zadanie?

WAGABUNDA CZEKA NA LISTY!

Na str. 10 naszej książki „Na traperskiej ścieżce" (w 147 numerze „Świata Młodych" z 10 grudnia 1983 r.) postawiłem przed wszystkimi miłośnikami traperstwa samodzielne ZADANIE „POLIGON". Chodzi w nim – przypominam – o przeprowadzanie obserwacji i tropienia na wybranym przez siebie obszarze. Kto już przystąpił do wykonywania tego zadania? Kto napisze do mnie o wyprawach na „poligon" – samodzielnie lub z zastępem? Czekam na listy! Najciekawsze wydrukuję. Obok adresu redakcji dopisujcie na kopercie: WAGABUNDA.

REDAKCYJNA POCZTA

W nowej szkole adaptacja nie zawsze jest łatwa

W tym roku rozpoczęłam naukę w LO. Moja klasa liczy 24 osoby i jest dość zgrana. Wydawać się więc może, że wszystko jest w porządku. Tak jednak nie jest. Nie czuję się dobrze w mojej nowej szkole. Niechętnie do niej chodzę, a na lekcjach nie potrafię się skupić. Jestem zupełnie załamana i nie wiem, jak temu się przeciwstawić.

Wydaje mi się, że przyczyną mojego zmartwienia jest nieodpowiednia szkoła. Nie byłam co prawda zdecydowana do jakiej szkoły pójść, do liceum ogólnokształcącego czy medycznego, ale widocznie źle wybrałam. Myślę więc, żeby przenieść się do liceum medycznego, lecz to będzie możliwe dopiero za rok. Jak wytrzymam do tego czasu – nie wiem. Poradźcie, proszę, co mam robić?

Zmartwiona Ala

OD REDAKCJI: Wydaje się, Alu, że jeszcze trochę za wcześnie na wyciąganie tak pesymistycznych wniosków, wszak jeszcze nie minęło pierwsze półrocze. Twój niepokój, niezadowolenie i niechęć do nauki wcale nie muszą wynikać z nieodpowiedniego wyboru szkoły. Bardziej prawdopodobne jest, iż przyczyną Twego samopoczucia i kłopotów z nauką są trudności z przystosowaniem się do nowego środowiska, nowych warunków i wymagań. Niestety, to już szkoła średnia, a więc i wymagania są wyższe niż w podstawówce. Nie rozczulaj się nad sobą i nie usprawiedliwiaj swych niepowodzeń złym wyborem szkoły. W innej czułabyś się zapewne podobnie. Radzimy, weź się w garść, zmobilizuj wszystkie siły i przystąp do solidnej pracy. Powodów do rozmyślań i załamywania się nie widzimy. Trafiłaś przecież do fajnej klasy i rozumiesz się z koleżankami. To jest bardzo ważne i z pewnością pomoże Ci pokonać trudności.

O zmianie szkoły nie myśl na razie. Wkrótce przecież wszystko może się dobrze ułożyć. Sądzimy, że dobrze zrobiłaś zdając do LO, przecież nie byłaś zdecydowana, jaki wybrać zawód. Masz przed sobą 4 lata, a więc masę czasu na podjęcie ostatecznej decyzji. Jeśli zechcesz zostać pielęgniarką, to przecież nic straconego. Będziesz mogła zdobyć ten zawód w dwuletnim Pomaturalnym Studium Medycznym. A więc głowa do góry i zabieraj się do solidnej pracy już od dziś.

(ws)

Być jedynaczką

W tym sęk, że jestem jedynaczką. Prawie wszyscy odsunęli się ode mnie właśnie z tego powodu. Koleżanka, z którą się przyjaźniłam, była do 12 lat jedynaczką, ale teraz ma brata i uważa, że jedynaczki są bardzo rozpieszczone i niekoleżeńskie. Co mam zrobić, by jakoś wkręcić się w swoje stare towarzystwo? A może jakaś jedynaczka lub jedynak napiszą do mnie. Mój adres: **Urszula Moś,** [redacted]

Moniko, może to Ty jesteś winna?

Po przeczytaniu listu Moniki w 135 nr „RP", która pisze, iż straciła wiarę w przyjaźń, postanowiłam jej odpowiedzieć:

Droga Moniko!!! Moim zdaniem niezbyt obiektywnie patrzysz na koleżanki i kolegów, i nie masz racji wątpiąc w istnienie przyjaźni. Zrozum, iż to co było w I, II czy III klasie, nie może istnieć w klasie VII; przecież my dorastamy, zmieniają się upodobania i gusty. Mamy swoje kłopoty. Każdy z nas przechodzi okres próby, czy da sobie radę w życiu. Był okres, że i ja także zwątpiłam w przyjaźń, ale już mi to minęło. Zastanowiłam się, czy to oni wszyscy się zmienili i czy oni są wobec mnie nie w porządku; czy to może ja jestem inna i może to ja wobec nich zawiniłam, może po prostu stałam się inna? I tak było!

Próbowałam się zmienić i jakoś mi to wyszło, jestem inna, chyba lepsza. Moniko, może Ty jesteś winna, może przez cały czas byłaś wobec nich nie taka jak powinnaś? Twoi bliscy cały czas to znosili, ale teraz powiedzieli – dość. Popatrz na to z tej właśnie strony, a znajdziesz przyjaciela.

„Pulpa"

Wspomnienie z butelkowego balu

MARNE BYŁY POCZĄTKI, ALE KONIEC WSPANIAŁY!

Kolorowy plakat, który wywiesiliśmy na gazetce harcerskiej w szkole informował czwartoklasistów, że:

„Już w piątek, 25 listopada o godz. 15.30 zapraszamy na zabawę andrzejkową. Specjalnie dla Was:

- *konkurs na najlepsze stroje,*
- *gry i zabawy z nagrodami,*
- *wróżby, lanie wosku, filmy przygotowali harcerze"*

Obawialiśmy się, że nie przeczytają (w bardziej widocznych miejscach, które do nas nie należą, ogłoszenia harcerskie się zdejmuje). Nie doceniliśmy czwartaków. Już na następnej przerwie oblegali gazetkę wraz ze swoimi wychowawcami.

A tak w ogóle (ambitnemu bądź co bądź) pomysłowi stale towarzyszyło sporo kłopotów i wątpliwości. Na przykład:

1) od września drużynę prowadzi nowa kadra. Impreza miała być właściwie naszym startem do poważniejszych zadań, tylko że tak naprawdę, pomimo rzetelnego planu pracy (ułożonego zaraz we wrześniu) nie udało się nam całkiem wyrwać zastępów z zeszłorocznego rozprężenia, nie wszyscy harcerze się odnaleźli – w przenośni i dosłownie – a przygotowanie zabawy wymagało jednak dużej sprawności,

2) jak na ironię zastęp starszoharcerski, któremu z racji wieku przypadły najodpowiedzialniejsze zadania forsował równocześnie istną nawałnicę sprawdzianów, powtórek, pierwszych wywiadówek w nowym LO.

Nic więc dziwnego, że wszystkie niezbędne zabiegi wokół imprezy odbywały się albo kosztem snu (np. ogłoszenie malowane było o świcie) albo za cenę pobieżnie odrobionych lekcji. Jednak prawdziwe dramaty rozgrywały się na kilka dni przed zabawą, kiedy z godziny na godzinę uświadamialiśmy sobie, że wszystkie nasze plany wobec tzw. trudności obiektywnych po prostu biorą w łeb. A to:

– sali gimnastycznej otrzymać nie możemy (planowo zajęta),

– porządnego sprzętu nagłaśniającego nie będziemy mogli wypożyczyć (jego użytkowanie musi nadzorować nauczyciel),

– ponadto musimy się skracać – o 18.00 koniec andrzejków (bo sprzątaczki nie mogą przecież siedzieć w szkole do wieczora, a nasza propozycja, żebyśmy sami posprzątali nie wchodzi w rachubę, ponieważ – powiedziały nam w zaufaniu panie sprzątaczki – pozbawilibyśmy ich... premii (!), na co oczywiście one przystać nie mogą),

– wsparcie finansowe – około 500 zł na nagrody stoi pod znakiem zapytania,

– i na podsumowanie: jedyne wolne pomieszczenie, świetlica, w ostatnim dniu zostało zajęte na zabawę klas VIII.

To prawda, że zabrakło nam doświadczenia, że za późno pomyśleliśmy o ostatecznych uzgodnieniach (wstępne poczyniliśmy już w październiku). Wpisujemy to na konto naszych błędów. Na przyszłość będziemy o nich pamiętać, ale także trudno będzie nam zapomnieć, że kiedy potrzebowaliśmy wsparcia, obdarzono nas wyjątkową „samodzielnością" w myśleniu, ale szczególnie w działaniu (zaufanie to, czy może obojętność...).

Myśleliśmy więc samodzielnie i wymyśliliśmy, że zabawa odbędzie się na korytarzu, oczywiście przystrojonym kolorowymi girlandami – co świetnie przygotowali harcerze młodsi. Mikrofon, małe kolumienki oraz prywatny radio-magnetofon (poratowała nas pani dyrektor) za zgodą zawsze dobrej p. woźnej zainstalowaliśmy w dyżurce. Trochę trzeba było przekrzykiwać rozbawione dzieci, za to one same... pomysłowością i kunsztownością strojów przekonały nas jak bardzo się do tej imprezy przygotowywały. Z nagrodami poszło jeszcze lepiej, chociaż ryzykownie. Wydaliśmy na nie przeszło 500 zł, natomiast bilet wstępu stanowiła jedna butelka. Przyszło 100 osób i tak zarobiliśmy około 300 zł, które wspomogły nasz skromny budżet.

Długo by pisać o tym jak znakomicie bawiły się królewny, koguty, Cyganki, budowlani... Czekali niecierpliwie, kiedy w zamian za butelkę losować będą kotyliony z kolorowym wzorkiem, identycznym dla jednego chłopca i jednej dziewczynki. Gdy tym sposobem dobrali się w pary, „polonezem był czas zacząć" i długi korowód wodzony posuwiście przez umundurowaną, jak my wszyscy, dh. Beatę tańczył chodzonego przy dźwiękach poloneza A-dur Chopina. Najwięcej radości było jednak z konkursem tańca, w którym dziesięć par sprawdzało się w walcu przy muzyce „Słońca Jamajki". Pozostali, siedząc na obwodzie parkietu, bacznie obserwowali wirujących harcerzy, wybierali najlepszych. Potem był konkurs rysunkowy – można było zdobyć farbki, kredki, nic dziwnego, że walka o to, kogo spośród 20 plastyków wyróżnić była zawzięta. Wszyscy spierali się długo, w końcu mniej odporni „głosowo" odpadli. Jeszcze konkurs śpiewaków i strojów oraz wiele gier i pląsów (w których spożytkowaliśmy całą masę plakietek, wycinanek, kredek, ołówków itp.), film i wróżby. Ale przedtem spotkanie ze strasznym duchem (był nim odziany w prześcieradło kierownik referatu harcerskiego hufca), którego nawet potworna muzyka i wycie auuuuu... auuuuu nie uchroniły przed masowym atakiem dziecięcej gromady. Duch przyniósł świeczki i klucz, no i zaczęło się wróżenie. Każdy chciał spróbować... Chyba wszystko było nie najgorsze, skoro nawet zwykle zakrzątane sprzątaczki przyglądały się z zainteresowaniem. Ale zakończenie było najbardziej nieoczekiwane.

– Druhu – zawołały dzieci zauroczone chyba naszymi mundurami – niech druh zrobi z nami krąg! Och, te czwartaki, zdążyły już nawet podpatrzeć nasze zwyczaje.

Stanęliśmy w kręgu. My – harcerze starsi, młodsi i nie znajome dotychczas dzieci, które już dopytywały się o termin zbiórki. Mamy więc nowych przyjaciół. To było chyba najcenniejsze i wspaniałe osiągnięcie, jakie przyniosła nam ta harcersko-szkolna zabawa. Rezultaty, których wcale nie planowaliśmy...

Witek Gałązka
korespondent HSI „ŚM", [redacted]

JESZCZE JESTEM CYWILEM

ZHP – co kryje ten skrót? Biwaki, ogniska, zbiórki? Tak. Wychowywanie ludzi pożytecznych społeczeństwu? Tak. Wielka przygoda wieku młodości? Tak... Czy rzeczywiście te twierdzące odpowiedzi są prawdziwe? I tak, i nie. ZHP to rzeczywiście wspaniała przygoda, przynajmniej ma nią być. I takie jest **prawdziwe** harcerstwo. Ale jest i druga strona medalu. Są drużyny, które swoim programem zanudzają ludzi. Pamiętam moje zetknięcie z tą organizacją w drugiej klasie szkoły podstawowej. Byłem wtedy smykiem i zuchem. Zajęcia były prowadzone przez druhnę, która niewiele miała z ZHP wspólnego poza tym, że mówiono do niej „druhno". Podejrzewam, że była to studentka pedagogiki, która tymi zajęciami zdobywała praktyczną umiejętność obchodzenia się z maluchami. Zajęcia były „czysto" harcerskie: raz zabawy ruchowe – normalny w-f, innym razem zajęcia w sali – normalne wycinanki itp., czyli tzw. zajęcia praktyczno-manualne. Nie tak sobie wyobrażałem harcerstwo. Przestałem przychodzić na zbiórki, bo mnie nie interesowały, poza tym nie składałem przysięgi, więc niczego nie obiecywałem i nie czułem się niczym związany. I tak dotrwałem – w stanie niezaangażowanym – do szkoły średniej. Tu zaczyna działać harcerstwo – wspaniałe plany, wspaniałe perspektywy. Jeśli wszystko się powiedzie, będzie to prawdziwe harcerstwo. Takie, o których czytamy w książkach, wychowujące nas na Polaków, jakimi byli bohaterowie „Kamieni na szaniec" i „Wieży Spadochronowej" – dwóch najpiękniejszych książek o polskim harcerstwie.

Jeszcze „cywil"
Arkadiusz Jan [redacted]

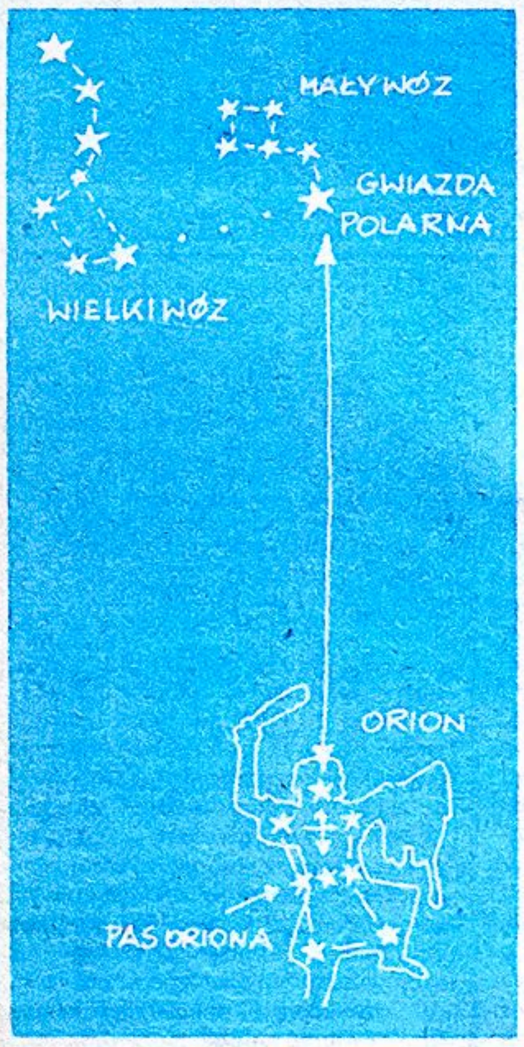

ORION POMAGA ZNALEŹĆ PÓŁNOC

ORION – był to w mitologii greckiej myśliwy beocki, przystojny olbrzym o ogromnej sile. Obawiając się, że wytraci on na Ziemi wszystkie zwierzęta, bogowie przenieśli go między gwiazdy wraz z jego psem Syriuszem i Skorpionem, atakującym piętę Oriona.

Gwiazdozbiór ORIONA (patrz rysunek) obserwować możemy w Polsce od października do marca niezbyt wysoko nad południową częścią horyzontu.

Pośrodku głównego czworokąta leżące ukośnie trzy małe gwiazdki tworzą Pas Oriona i zwane są często również „Trzema Królami". Jeśli przed środkową gwiazdę Pasa Oriona oraz najwyżej nad horyzontem położoną gwiazdę tego gwiazdozbioru przeprowadzimy w wyobraźni prostą i przedłużymy ją ku górze – trafimy na Gwiazdę Polarną i otrzymamy kierunek północny.

„HIT" POGRĄŻA W SEN

Na str. 3 naszej książki pisałem o śnie zimowym susłów. Właściwie dopiero niedawno uczeni zbliżyli się znacząco do rozszyfrowania zjawiska zimowego snu zwierząt.

Otóż z krwi pewnego gatunku wiewiórki ziemnej została wydzielona substancja, nazwana „hit" (skrót utworzony z pierwszych liter angielskiego określenia *„hibernation induction trigger"*).

„Hit" podany w lecie tak ruchliwemu zwierzęciu jak chomik czy nietoperz, pogrążał je w głęboki i długi sen. U małp, które nigdy na zimę nie zasypiają, „hit" wywołuje również typowe wymptomy snu zimowego; częstotliwość pulsu zmniejsza się dwukrotnie, temperatura ciała obniża o kilka stopni.

Gdy skończy się działanie substancji – małpy znów czują się doskonale.

Stwierdzono też m.in. że zwierzęta uśpione tą substancją wytrzymują w tym czasie bez uszczerbku dla zdrowia wysokie dawki promieniowania radioaktywnego.

U ESKIMOSÓW

- Jak stwierdzono, u Eskimosów na dalekiej Północy w czasie zimna mocno rozszerzają się naczynia krwionośne. Umożliwia to zwiększenie dopływu krwi do najdalszych, „peryferyjnych" punktów ciała, dzięki czemu tworzy się termiczna osłona najważniejszych organów wewnętrznych człowieka przebywającego w zimnie.

- Mieszkańcy arktycznych szerokości geograficznych rozróżniają ponad sto odmian śniegu – w zależności od jego wytrzymałości, budowy i innych specyficznych właściwości.

CO TRAPER MOŻE ROBIĆ W STYCZNIU?

- Notuj raz w tygodniu – w poniedziałek – w jakim miejscu horyzontu w Twojej miejscowości i o której godzinie wschodzi słońce. Notuj same dane dotyczące zachodu: miejsce i czas.

- Wykorzystaj długie wieczory i ciemne poranki do obserwacji gwiezdnego nieba. Można ich dokonywać tuż za progiem, a także w pokoju przez okno, jeśli zgasisz światło i przyzwyczaisz wzrok do ciemności.

- Wykorzystując wyprawę do drwali pracujących przy wyrębie lasu postaraj się o przekrojowe próbki drewna różnych naszych drzew, ich kory, gałązek. Przydadzą się jako „pomoc naukowa" w zastępie, drużynie.

- Obserwuj „ruch" dzikiej zwierzyny w kierunku ludzkich siedzib, ogrodów i sadów. Notuj (i rysuj!), jakie ptaki przylatują do Twego karmnika ustawionego lub zawieszonego przed domem, na balkonie, na parapecie.

- Zaobserwuj i odpowiedz sobie: jak to się dzieje, że niekiedy gałązki drzew, igły, krzewy – pokryte są białym kożuchem iskrzącej szadzi? Dlaczego nie każdego zimowego dnia?

Na mapie świata

JAKI BYŁ MIJAJĄCY ROK 1983?

Za kilka dni dobiegnie kresu rok 1983. Prawdę mówiąc dobrze, że już się kończy. Pod wieloma względami był niepomyślny dla większości krajów naszego globu. Właściwie w mijającym roku niewiele udało się zanotować zdarzeń, które można uznać za optymistyczne.

● Świat nie zdołał np. opanować szalejącego od wielu lat kryzysu, nie powstrzymał również rujnującej rynki inflacji.

● Zadłużenie większości krajów wobec kilku najbogatszych nie tylko nie maleje, przeciwnie – stale rośnie. Długi osiągnęły już niewyobrażalną kwotę 700 miliardów dolarów i stale mają tendencję wzrostową. Jeśli nie stanie się jakiś cud, za kilka lat wielkość zadłużenia może przekroczyć wartość wszystkich rezerw finansowych w światowych bankach. A więc może nastąpić niebezpieczna sytuacja, która doprowadzi do załamania się światowego systemu finansowego. Jak temu zaradzić? Jaką znaleźć receptę? Pytania te spędzają sen z powiek najtęższym ekonomistom i finansistom.

● Nie udało się również powstrzymać nadmiernej rozrodczości w krajach ubogich. Powoduje to, iż strefy głodu na kuli ziemskiej ciągle się powiększają. Najgorsza sytuacja jest w Afryce Równikowej, ale również w Azji i Ameryce Łacińskiej. Pomoc charytatywna krajów bogatych jest niewystarczająca. Łagodzi tylko objawy zjawiska, nie leczy zaś przyczyn.

● Nie rozwiązano w mijającym roku żadnego z regionalnych konfliktów, a w niektórych wypadkach sytuacja jest jeszcze gorsza niż przed rokiem. Nadal trwa wojna między Iranem i Irakiem. Trwający ponad trzy lata konflikt pochłonął tysiące ofiar, spowodował ogromne straty materialne. A końca nie widać. Ten przykład wyraźnie pokazuje, że załatwianie sporów za pomocą oręża jest bezsensem, głupotą.

● Liban. Tu sytuacja jest tak bardzo skomplikowana, że nikt dziś nie wie, co się stanie za rok, miesiąc, a nawet za tydzień. Swoistą tragedię przeżywają Palestyńczycy. Ponad 4 tysiące żołnierzy, zwolenników Jasera Arafata, po beznadziejnej wojnie z innymi ugrupowaniami palestyńskimi w rejonie miasta Tripoli, zostanie ewakuowana do Tunisu i Jemenu. Odejście Arafata niczego w Libanie nie zmienia. Zaangażowanie się militarne Stanów Zjednoczonych może doprowadzić do konfliktu na większą skalę. Już zresztą doszło do starć zbrojnych z siłami syryjskimi. Sytuacja jest więc bardzo groźna. Syria, a także postępowe siły arabskie, czują się teraz zagrożone nie tylko ze strony Izraela, ale i zaprzyjaźnionych z nimi Stanów Zjednoczonych.

● W Afryce, z kolei, wszystkie lokalne konflikty – w Czadzie, na Saharze Zachodniej i na pograniczu angolańsko-namibijskim – jakby nieco przygasły. Nie oznacza to, że w roku przyszłym znowu o nich nie usłyszymy.

● Na drugiej półkuli, szczególnie w rejonie Morza Karaibskiego, sytuacja jest nadal napięta. Po agresji USA na maleńką Grenadę zagrożona czuje się Nikaragua. To młode socjalistyczne państwo w Ameryce Środkowej od kilku miesięcy odpiera przygraniczne ataki uzbrojonych przez Amerykanów band dawnego dyktatora Somozy. Co więcej, Nikaragui zagraża bezpośrednia inwazja Stanów Zjednoczonych. Gdyby do tego doszło, wojna z Nikaraguą może swym zasięgiem ogarnąć całą Amerykę Środkową.

● Przypomniane powyżej skrótowo tylko najważniejsze konflikty regionalne bledną w porównaniu z sytuacją, która się wytworzyła na linii Wschód-Zachód. Polityka antysocjalistyczna, jaką obrał obecny prezydent USA, Ronald Reagan, już wydała swoje owoce. Kontynent nasz, i tak już naszpikowany bronią jądrową mogącą kilkakrotnie obrócić wszystko w radioaktywny pył, otrzymuje kolejną amerykańską dawkę atomowej śmierci. Nowe rakiety Pershing II i Cruise niebezpieczne są nie ze względu na powiększanie dotychczasowych zapasów, ale z powodu swej jakości. Chodzi o ich celność i szybkość docierania do celu. Stwarzają one dla naszego obozu realne niebezpieczeństwo. Stąd też wszystkie radzieckie kompromisowe propozycje w ramach prowadzonych rokowań spełzły na niczym. Na nic się zdały protesty milionów ludzi w Europie, na Wschodzie i na Zachodzie. Amerykanie postawili na swoim, bo taki był ich cel od samego początku. Spowodowało to przerwanie rokowań między USA i ZSRR, gdyż w nowej sytuacji straciły one swój sens. Amerykańska decyzja nie może pozostać bez echa. Związek Radziecki zapowiedział, iż wspólnie ze swymi sojusznikami podejmie kroki zmierzające do wzmocnienia obronności państw członków Układu Warszawskiego. Słowem, efektem polityki Reagana stał się nowy wyścig zbrojeń. Pochłonie on środki materialne, które mogłyby posłużyć podniesieniu stopy życiowej ludzi, tak na Wschodzie jak i Zachodzie.

Reasumując, mijający rok zapisał się w historii świata fatalnie. Pewną nadzieję budzi rok przyszły. Już w styczniu rozpocznie się w Sztokholmie debata rozbrojeniowa, zapowiedziana w podpisanym w Madrycie dokumencie KBWE. Uczestnicy tego spotkania mają radzić nad budową tzw. środków zaufania. Do tematu tego wkrótce wrócimy.

● Na koniec parę słów o naszym kraju. Jaki był dla nas mijający rok? Odpowiedź na tak postawione pytanie nie jest wcale prosta, bo przecież każdy ma na ten temat własne spostrzeżenia i odczucia. Mimo oczywistego postępu, w porównaniu z rokiem 1982, nadal jest nam ciężko. Brakuje wielu towarów tzw. trwałego użytku. Nadal szybciej rosną płace niż podaż towarów rynkowych. To właśnie spowodowało, że nie udało się przyhamować inflacji do przyzwoitego poziomu poniżej 10 proc. Nadal są ogromne trudności ze zwiększeniem tempa budownictwa mieszkaniowego. Mógłbym tę listę trudności długo jeszcze przedłużać.

Bieżące kłopoty są wynikiem głębokiego kryzysu, którego skutki będziemy odczuwać jeszcze przez następne lata. Mija dopiero pierwszy rok trzyletniego planu wychodzenia z owego kryzysu. Zważywszy uwarunkowania wewnętrzne i zewnętrzne (restrykcje gospodarcze Zachodu) nasz skromny postęp należy oceniać jako sukces. Po raz pierwszy od kilku lat dochód narodowy ulegnie powiększeniu. Jest to najbardziej obiektywny wskaźnik mówiący, że zaczynamy piąć się do góry. Oby rok następny tę tendencję jeszcze bardziej umocnił – czego życzę Wam i sobie.

ST. BOROWIECKI

Te bociany nie odlatują...

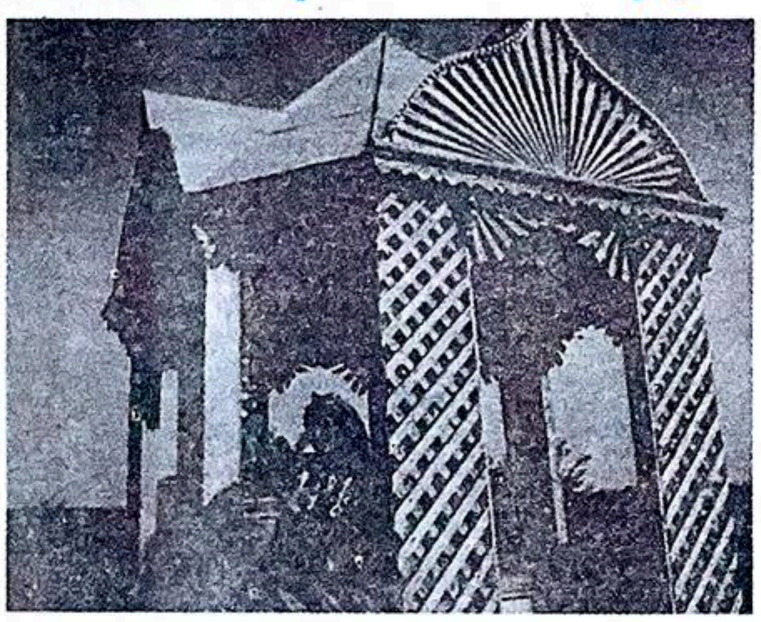

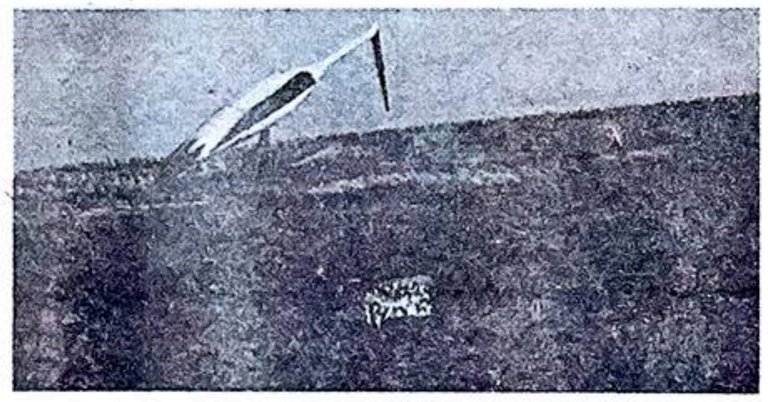

(„Kraj Rad") Michał Boldu – mieszkaniec mołdawskiej wioski Tabany – odziedziczył fach blacharski po dziadku i ojcu. Zwyczajne arkusze blachy i aluminium zamieniają się w rękach ludowego artysty w ozdobione rzadkiej piękności ludowymi ornamentami rynny, przewody kominowe, konstrukcje nośne studni. Prawdziwą jego chlubę stanowią studnie. Ani jedna nie jest podobna do drugiej. Na ogół tę skomplikowaną konstrukcję wieńczy bocian. Już setki takich ptaków „pofrunęło" z pracowni ludowego mistrza na wsie Mołdawii i w sąsiednie rejony Ukrainy. **(dr)**

Powiedzieli, napisali...

NA ROWERZE NIE RÓŻOWO

„Jedno nie ulega wątpliwości. Kolarstwo jest teraz dla mnie sposobem na życie. Na życie wcale nie tak różowe i zamożne jak uważa wielu ludzi. Jakże bowiem położyć na szalach wagi z jednej strony zdrowie, które niewątpliwie traci się na rowerze, z drugiej zaś nagrodę wręczoną w kopercie? Jak stwierdzić, czy uczucie potwornego zmęczenia, takiego, w którym traci się już przytomność, jest w stanie zrównoważyć ta rzeczywiście wspaniała, niepowtarzalna chwila, gdy wchodzi się na podium odebrać medal?"

Andrzej Serediuk

brązowy medalista kolarskich mistrzostw świata

DISCO – SPORT

Atrakcyjne „opakowanie" gimnastyki

Aerobic – moda, która podbija świat. Przyciąga amatorów w różnym wieku i jak obliczono, dziś uprawia go na świecie prawie 67 milionów ludzi. Czy jest to naprawdę coś nowego, czy też w gruncie rzeczy jest to poczciwa, stara gimnastyka, która otrzymała jedynie nowe „opakowanie"? Czy ta nowa etykietka sprawiła, że aerobic stał się atrakcją i dla młodzieży? Kolorowe stroje, modne rytmy... Dyskoteka w gimnastycznej sali czy gimnastyka w dyskotece? A może to właśnie jest sposób na rozruszanie naszych mięśni?

Aerobic – słowo to pojawiło się po raz pierwszy w związku z przygotowaniami do lotu na Księżyc. W swej pierwotnej wersji służył on bowiem do poprawiania kondycji kosmonautów amerykańskich. Był to specjalny zestaw ćwiczeń opracowany przez KENNETHA COOPERA, lekarza Światowej Agencji Aeronautyki NASA. Kenneth Cooper uchodzi więc za ojca aerobiku. Był aerobic w swej pierwotnej postaci ćwiczeniami gimnastycznymi, angażującymi krążenie w taki sposób, by obciążony w czasie ćwiczeń organizm mógł pobierać dostatecznie dużo tlenu, a więc funkcjonować „aerobicznie", bez popadania w niedotlenienie. Kenneth Cooper miewał już wiele równie udanych pomysłów. To przecież on stworzył także jogging – i ta moda na bieganie też stała się ogólnoświatową.

Wszystko wybuchło z niesamowitą siłą wówczas, kiedy to do rozkręcania akcji włączyła się słynna gwiazda filmowa Jane Fonda. Najpierw wylansowano nowe słowo – aerobic. Potem opracowano specjalne zestawy ćwiczeń, które należało wykonywać według wzorów zamieszczanych w książkach, w rytm odpowiedniej muzyki odtwarzanej ze specjalnie przygotowanych kaset. Pomysł chwycił. Po szale masowego „biegania po zdrowie", czyli joggingu, przyszła moda na disco-sport. Modę rozkręconą w USA przeniosła na europejski grunt aktorka Sydne Rome.

Czy jednak naprawdę dla Europy była to absolutna nowość? Wtajemniczeni twierdzą, że już u progu naszego wieku zapomniany dziś Duńczyk J.P. Mueller połączył po raz pierwszy gimnastykę z muzyką. Mueller zobaczywszy dziś swój pomysł w obecnym wydaniu z pewnością bardzo by się zdziwił. I rytmy, i stroje nie przypominają przecież w niczym tamtych sprzed lat. Okazuje się, że dawny pomysł został po prostu zmodernizowany. Mueller zalecał 15 minut ćwiczeń przy muzyce dziennie. Uważał, że jeśli robi się to intensywnie, taka porcja zupełnie wystarcza. Współcześni wyznawcy aerobiku ćwiczą godzinę, czasem 40 minut. Ale kto dotychczas nie trenował, zaczynać powinien powoli...

Aerobic ma bardzo wielu zwolenników w Czechosłowacji i na Węgrzech. Coraz więcej ludzi interesuje się nim i w Polsce.

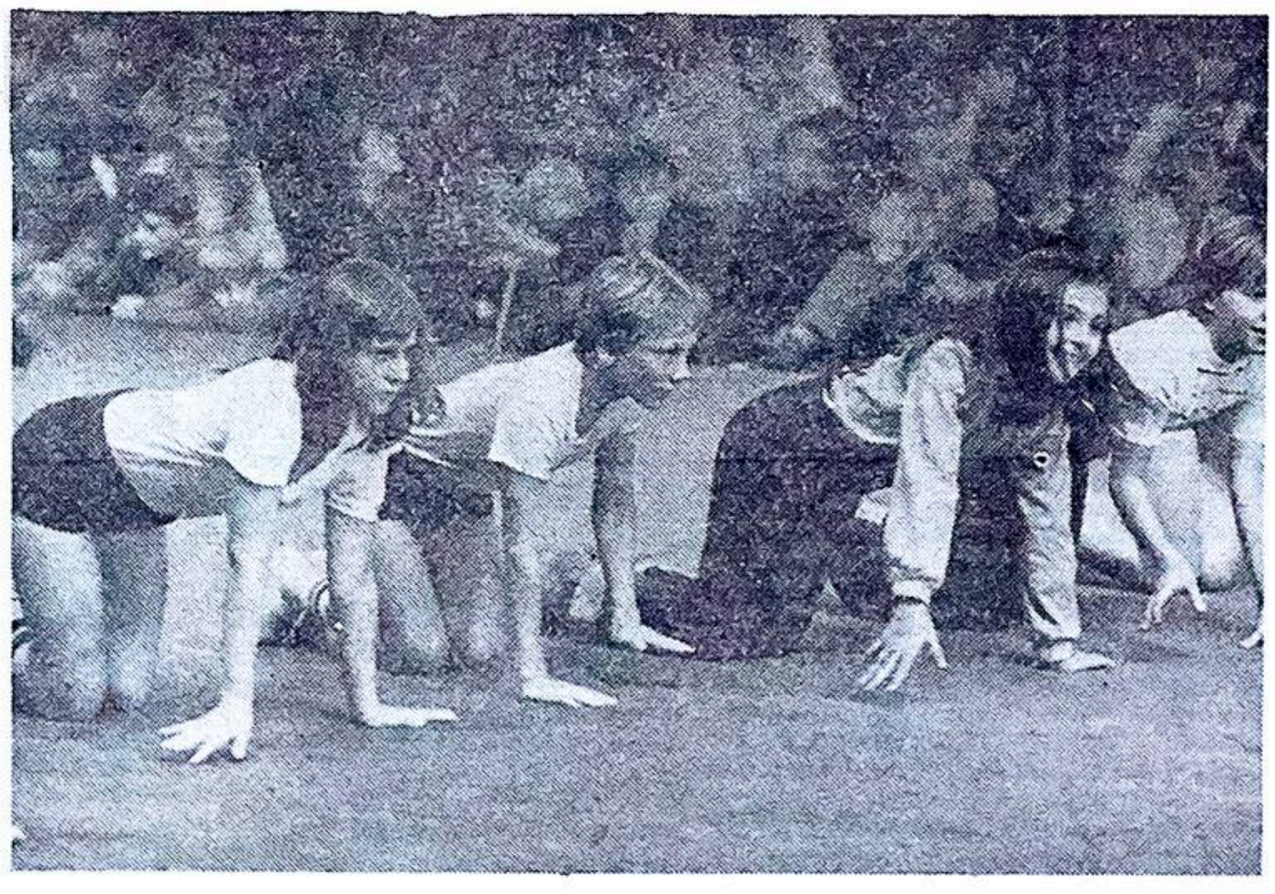

Prowadzone są pierwsze zajęcia w Warszawie, Krakowie, Raciborzu... Kilka tygodni temu specjalny pokaz odbył się w Łodzi. Aerobikowi towarzyszy u nas przede wszystkim ciekawość. Skoro jednak moda ta dotarła już i do Polski, może warto zastanowić się nad tym, jak – w najbardziej pożytecznej formie – przeszczepić ją na nasz grunt. Od lat słyszy się narzekania, że dyskoteki odciągają młodzież od boisk i sal gimnastycznych. Czy zatem traktować je jako wroga? A może tego „wroga numer 1" uczynić sprzymierzeńcem? Wykorzystać modę disco do propagandy sportu? Uatrakcyjnić dzięki tej modzie treningową monotonię?

LIDIA NOWAKOWA
Fot. **M. Żbikowski**

OD REDAKCJI: Wkrótce, dokładnie w styczniu przyszłego roku, rozpoczniemy na łamach „ŚM" drukowanie specjalnego zestawu ćwiczeń aerobiku.

FAJERWERK DLA „NAJJAŚNIEJSZYCH PIERSI"...

Śladami „Lwa Lechistanu" (8)

Trzy dni i trzy noce podążał z oswobodzonego Wiednia do Krakowa oficer artylerii Jego Królewskiej Mości – Filip Dupont, by jak najrychlej przekazać królowej Marysieńce arcyważną i radosną wiadomość od męża i króla – Jana III Sobieskiego. Do przesyłki – złotego strzemienia Kara Mustafy, dołączony był skreślony ręką wodza krótki list, zawiadamiający, że: *„Ten, którego noga była w tem strzemieniu, za łaską Bożą jest zwyciężony"*. Wiadomość o wiktorii „Lwa Lechistanu" rozeszła się po Krakowie w czwartek, 16 września rano lotem błyskawicy. Od tej chwili pełne nerwowego skupienia, ciszy i niepokoju wyczekiwanie ustąpiło miejsca szaleńczej radości, objawianej biciem dzwonów i armatnimi wystrzałami. Miasto nareszcie odetchnęło z ulgą. Nic dziwnego – wszak w razie tureckiej wygranej los wawelskiego grodu i jego mieszkańców, z racji bliskiego położenia od Wiednia, był na dobrą sprawę przesądzony... Na szczęście do tragedii nie doszło. Wiedeń był wolny, Kara Mustafa rozgromiony, zaś bohaterski wyczyn wojsk Sobieskiego komentowano w całej Europie z najwyższym podziwem.

Po dniach strachu i otępienia nadchodził czas wielkiego świętowania. Bo choć wiek XVII miał się ku schyłkowi, ceremoniał uhonorowania bohatera niewiele odbiegał od tradycji antycznej. Zwycięstwo nieodmiennie oznaczało triumfowanie, zaś związane z tym obchody religijne – nabożeństwa i procesje, przeplatały się z uroczystościami świeckimi. Wyobrażam sobie, jak władze miasta musiały łamać swe dostojne głowy nad obmyśleniem godnego powitania bohatera Rzeczypospolitej... Źródła donoszą, że tę pierwszą, tak wyczekiwaną wiadomość o zwycięstwie uczczono mszą pontyfikalną na Wawelu (którą celebrował sam biskup Małachowski) oraz uroczystą wotywą w Kościele Mariackim, połączoną z „Te Deum laudamus" (Ciebie Boże chwalimy).

Niebawem, w ślad za doniesieniami o bieżącej sytuacji i pozycji wojsk Sobieskiego, nadeszły do Krakowa pierwsze wojenne łupy. Pełne osiemdziesiąt wozów! A na nich wschodnie przedmioty i kosztowności, tureccy jeńcy (!) oraz ogromny namiot wezyra, który królowa kazała niezwłocznie rozbić na polu pod Łobzowem, tak aby go wszyscy podziwiać mogli. Była to bodajże pierwsza „wiedeńska wystawa" w Krakowie...

Pogromca Turka, władca Rzeczypospolitej – król Jan III Sobieski według portretu Trycjusza

Fot. **J. Kozina**

„VIVAT REX POLONIAE"!

Nerwowe podniecenie, które ogarnęło mieszkańców, stanowiło zaledwie przedsmak tego, co miało nastąpić za kilka tygodni. Król bowiem w kolejnym liście do Marysieńki donosił o zamiarze przekroczenia granicy Rzeczypospolitej 14 grudnia, prosząc jednocześnie, aby „najukochańsza Jutrzenka" wyjechała mu naprzeciw do Starego Sącza.

Dopiero wtedy zaczęło się! Zamieszanie nie mniejsze niż przed bitwą! Tęgie głowy zasiadły co prędzej do obmyślania programu powitalnej uroczystości. Na początek rajcy miejscy podjęli uchwałę: *„Najjaśniejszego Króla Imci Pana Naszego Miłościwego, szczęśliwego daj Boże do residencyjej krakowskiej spodziewając się powrotu, miłość zaś i wierne poddaństwo nasze przeciw tak wielkiemu monarsze, a dobrotliwemu Panu, który całość Ojczyzny i całego chrześcijaństwa zastawia i broni najjaśniejszymi piersiami swemi pańskiemi, wyciąga po nas abyśmy jak z największym tak wielkiego triumfatora powitali applausem"*. Ustalono ponadto, że będą fajerwerki, strzelanina na wiwat za bramą Wiślną i Nową oraz uroczysta uczta. Określono także potrzebne na ten cel fundusze *„wedle możności tych czasów ciężkich"*.

Do granicy państwa wydelegowano czym prędzej dwóch krakowskich rajców – Pawła Fryznekiera i Adama Drużyńskiego, którzy jako przedstawiciele miasta na terenie Rzeczypospolitej, triumfatora witać mieli. Kraków bowiem darzył króla szczególną sympatią, a i władcę łączyło z tym miastem dużo serdecznych wspomnień. Tu przecież jako 11-letni chłopiec rozpoczynał nauki w słynnym kolegium Nowodworskiego, tutaj studiował później na Uniwersytecie Jagiellońskim. na Wawelu w 1676 roku uroczyście koronowano go królem. Z tego miasta wreszcie, wyznaczonego na główny ośrodek koncentracji wojsk polskich, ruszał pod Wiedeń...

Czy to zimowe drogi, czy trudy wielomiesięcznej, wojennej wyprawy, czy też może inne okoliczności zmniejszyły tempo przemarszu królewskiego orszaku – dość, że u bramy miasta witano królewską parę w dzień przed Wigilią – 23 grudnia 1683 roku. W ten śnieżny, mroźny wieczór tłumy mieszkańców wyległy na ulice, by na własne oczy ujrzeć triumfalny powrót monarchy i wjazd przez Bramę Floriańską. By zgotować mu gorącą owację i towarzyszyć w drodze na Wawel. Tradycja głosi, że wtedy właśnie wręczono królowi tacę srebrną złoconą – dzieło gdańskiego złotnika Jana Gotfryda Holla, w artystycznej formie nawiązującą do wiedeńskiej wiktorii i hojnie wypełnioną złotem. Ten wieczór pełen wiwatów i emocji zakończył się w katedrze na Wawelu, gdzie według słów naocznego świadka *„biskup ze wszystkiemi zakonnikami, kapłanami, i niezliczoną wielkością ludu psalmy i oracyje prześpiewawszy, Te Deum laudamus skończywszy, jednostajnym głosem krzyknęli: Vivat! Vivat! Vivat Rex Poloniae!"*

A po błogosławieństwach, którym towarzyszył donośny huk z zamkowych dział – zmęczony owacjami bohater poszedł spać...

KARNAWAŁ PO KRAKOWSKU

To co się działo w Krakowie w następnych, poświątecznych dniach grudnia, przyrównać można z powodzeniem do współczesnego karnawałowego szaleństwa w Rio! Miasto dosłownie wrzało od radosnego podniecenia, a zgiełk i zamęt podobne były tym, jakie zwykle towarzyszą ostatnim przygotowaniom przed decydującą bitwą. Ceremoniał powitania bohatera spod Wiednia jako żywo przypominał fetowanie rzymskich cezarów. Czy należy się temu dziwić? Chyba nie, jeśli wziąć pod uwagę zarówno ówczesną, skłonną do przesady barokową obyczajowość, jak i rangę zwycięstwa Sobieskiego. Szczegółowy scenariusz uroczystości miejskich na Rynku Głównym 27 grudnia, w dzień patrona króla – Jana Ewangelisty, zawdzięczamy dwóm panom: rajcy Janowi Gaudentemu Zacherli i kupcowi Stefanowi Mechoniemu. Przewidywał ów scenariusz (po wysłuchaniu uroczystej mszy w kościele Mariackim) przejazd królewskiej rodziny do kamienicy pana Tucciego (przy Rynku Głównym nr 22) na obiad, *„kędy go magistrat witał i winszował królowi Imci tak wielkich tryumfów. Oracyję miał J.P. doktor Łopacki bardzo piękną, a od króla Imci mówił J.W. Pan Kanclerz wielki koronny Jan Wielopolski"*.

Czy obiad był smaczny – tego nie wiemy, bo nie zachował się spis podawanych potraw. Wiemy natomiast jakie poszły na ten cel surowce. A więc wino ofiarował rajca Mikołaj Królik, zakupiono też m. in. 13 par kuropatw, 7 par jarząbków, sarnę, 82 kapłony, 3 zające, 7 wołowych pieczeni, 7 dyszków cielęcych, mnóstwo przypraw i białego chleba. Bankiet przygotował, specjalnie na tę okoliczność wynajęty, kucharz Marcin. Trochę to kosztowało, ale któż by w takiej sytuacji liczył się z groszem ...

A skoro już jesteśmy przy rachunkach, to trzeba przyznać, że stanowią one arcyciekawą lekturę. Oto wśród wydatków związanych z uroczystością powitania króla znajduje się suma 108 zł określona jako: *„expensa na chorych i poranionych casu infelici podczas tryumfu, gdy Król Imci Pan Nasz Miłościwy powrócił spod Wiednia"*. Nie obyło się bowiem bez ofiar, a to m. in. na skutek pomyłki dwóch Włochów, którzy przygotowując pokaz sztucznych ogni, coś tam pokręcili w obliczeniach i fajerwerki pozbawiły życia pięciu mężczyzn, dodatkowo raniąc kilkanaście osób. Ciżba na Rynku, gdzie przed ratuszem odbywało się główne widowisko teatralne (które przeszło do historii pod nazwą fajerwerku wiedeńskiego), była bowiem okrutna. Król wraz z Marysieńką obserwował cały ten spektakl wygodnie z okien kamienicy Tucciego, natomiast zgromadzonym tłumom woda lała się za kołnierz – pogoda tego dnia była zupełnie nie grudniowa. Padający deszcz zalewał moździerze, gasił race, ale planu uroczystości pokrzyżować nie zdołał...

Jeden z dwóch buńczuków tureckich złożonych przez króla podczas zimowego pobytu w Krakowie 1684 r. na grobie św. Jana Kantego

Fot. **archiwum**

Na co jeszcze poszły pieniądze? Na oprawę scenograficzną hucznego widowiska, skomponowaną z trzech potężnych łuków ozdobionych malowidłami-emblematami. Szczegółowy opis tego osobliwego *theatrum* zająłby ładne parę stron gazety, więc tylko dla nakreślenia jego ogólnego wyglądu warto powiedzieć, że pierwszy łuk przedstawiał Najjaśniejszego Pana, który szablę w dłoni ściskając pędził na koniu. Drugi – postać syna – królewicza Jakuba, również konno. Trzeci wreszcie wyobrażał wielkiego smoka, w którego orzeł polski ciska piorunem, zza orła natomiast wyłania się anioł, koronujący polskie godło państwowe... Całości kompozycji dopełniały obeliski przedstawiające pognębionych Turków i zdobyczne trofea, figury Marsa i Ateny oraz liczne, a stosowne napisy, sławiące męstwo i zaszczyty obrońcy chrześcijaństwa, wybitnego wodza, pogromcy muzułmanina, słowem Jana III Sobieskiego, niezwyciężonego króla – Lechity. Tak, tej zimy poeci mieli pełne ręce roboty ... I ci, co śpiewali chóralne pieśni, i ci, co odgrywali pojedynek Polaka z Turczynem, i ci, co puszczali *„rac górnych, półfuntowych, ćwierćfuntowych czterdzieści"*, i panowie puszkarze: Przybysławczyk, Zimnicki, Rymanowski, Pestkowicz, robili wszystko, by uroczystość wypadła godnie i okazale.

Trzeba było mieć nie lada kondycję i zdrowie, żeby uczestniczyć we wszystkich tych uroczystościach, które Kraków zgotował na cześć triumfatora spod Wiednia. Na szczęście król jakoś to wszystko przetrzymał, więcej – zabawił pod Wawelem ładnych parę miesięcy! W tym też czasie odwiedził m. in. swoją Akademię Krakowską i bibliotekę Collegium Maius, gdzie wpisał się do „Księgi Królewskiej", zaś zbiorom uniwersyteckim przekazał *„sygnet srebrny z napisem tureckim"*.

A i w samym Krakowie nie zabrakło miejsc upamiętniających pobyt króla i owo historyczne wydarzenie. Sięgnijmy raz jeszcze do rachunków, z których wynika, że Stanisław Józef Bieżanowski wziął 12 florenów honorarium za wiersze na tablicę do bramy Sławkowskiej, zaś kamieniarz z Czernej – Michał Poman otrzymał 400 złp za *„wyrobienie orła z kamienia nad mur przy moście w Sławkowskiej Bramie"*.

Kiedy w czerwcu 1696 roku nadeszła z Wilanowa wiadomość o śmierci króla – Kraków pogrążył się w żałobie. Pamięć o bohaterze spod Wiednia uczczono uroczystą mszą żałobną w Mariackim kościele oraz honorami należnymi koronowanemu władcy Rzeczypospolitej. Jednakże królewskie prochy spoczęły na Wawelu pod kaplicą Wazów dopiero w 40 lat później, dokąd przewieziono je z Warszawy wraz z trumną Marii Kazimiery.

I tak oto zamknął się kolejny rozdział dziejów Rzeczypospolitej...

Tak dobiegła końca historia „Lwa Lechistanu"...

TERESA MACISZEWSKA

Kto chciałby prześledzić koleje pamięci historycznej po Sobieskim, poznać pamiątki odsieczy wiedeńskiej oraz obchody kolejnych jej rocznic, niechaj do podanych przeze mnie w poprzednich odcinkach tytułów, doda książkę Michała Rożka pt. „Tradycja wiedeńska w Krakowie", wydaną przez KAW.

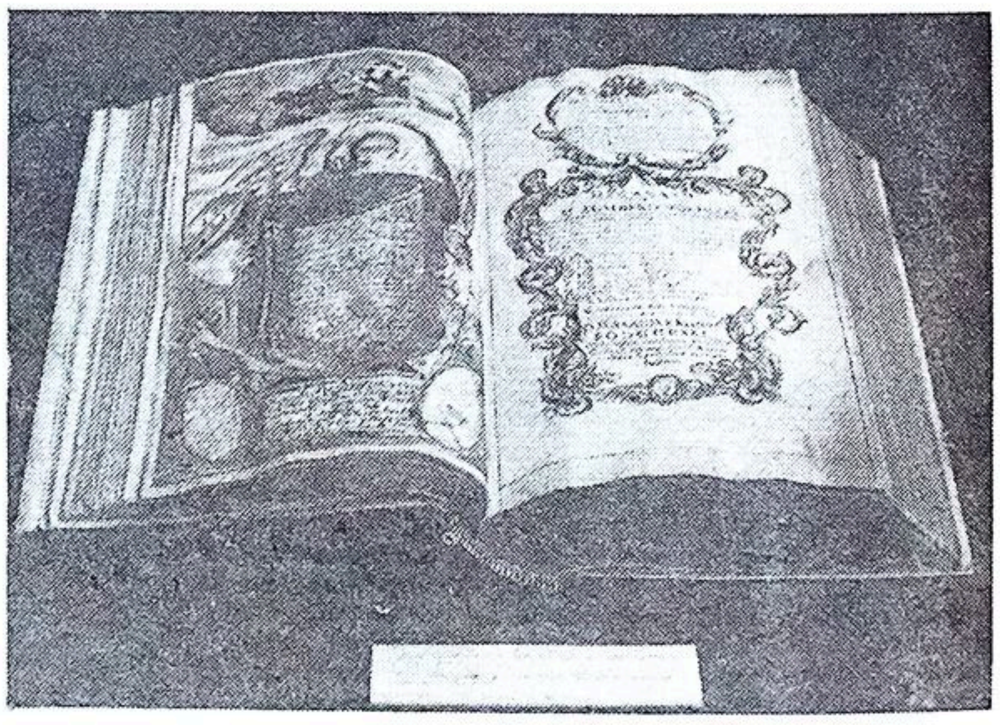

Zdobiony akwarelą orła polskiego zapis w księdze Uniwersytetu Jagiellońskiego upamiętniający śmierć Króla Jana

Fot. **J. Kozina**

U misiów w „Misiu”

„Misia” widać z daleka. Zwłaszcza nocą! Bowiem na budynkach tej największej spółdzielni zabawkarskiej w kraju, położonej na peryferiach Siedlec widnieje okazały neon. Toteż jadąc wieczorem od strony Warszawy najpierw zauważa się „Misia”, a dopiero później wojewódzkie miasto.

Ale ów neon to wcale nie wynik zabiegów kierownictwa spółdzielni, by przydać sobie blasku i walczyć o reklamę. Neonu bardziej chciały władze miasta niż prezesi spółdzielni, jako że spółdzielnia o reklamę się nie stara. Bo i po co?

W „Misiu” powstają tzw. zabawki miękkie. Na początku swej działalności – a powstała w 1954 r. – wytwarzała wyłącznie misie. Stąd nazwa. Z czasem ofertę wzbogacono. Dziś wychodzą stąd przeróżne maskotki, zwierzaki, lalki – efekt pracy liczącej ok. 1050 osób załogi. Zabawki swe spółdzielnia wyrabia z tworzyw sztucznych, pluszy futerkowych, pełnowartościowych skór. Wzornictwo – własne. Powstaje tu rocznie kilkaset wzorów nowych zabawek tego typu, z czego do handlu trafia kilkadziesiąt. Ale na krajowym rynku można znaleźć praktycznie tylko produkowane tu lalki. Reszta – połowa produkcji – przeznaczona jest na eksport do I i II obszaru płatniczego. Zresztą – nawet samych tylko lalek rynek wchłonąłby znacznie więcej, a spółdzielnia dać więcej nie może...

Bo oto do wytworzenia ich zaplanowanej ilości potrzebuje rocznie 350 ton tworzyw. Niestety, otrzymuje tylko 100 ton. Co wtedy? Ano – trzeba sięgnąć po odpady tworzyw. Więc skupuje się je gdzie można. Zbudowano tu cały ciąg technologiczny, służący do ich przetwarzania. Ale – jak mówi nam **Piotr Turczyk**, wiceprezes d/s produkcji – między bajki należy włożyć twierdzenie, że można z odpadów zrobić naprawdę udaną, estetyczną zabawkę. Opierając się na nich, rzadko kiedy np. można osiągnąć taką kolorystykę, jakiej właśnie potrzeba.

Skoro zatem spółdzielnia nie jest w stanie produkować tyle, ile rynek może wchłonąć, skoro ma kłopoty z surowcami i materiałami – czyż potrzebuje zabiegać o reklamę? Zwłaszcza, że nie posiada na krajowym rynku poważniejszych konkurentów. Inaczej nieco jest na rynkach zagranicznych. Tu konkurentów nie brakuje. Ale „Miś” ma już swoje lata (lada chwila stuknie mu trzydziestka), zdążył się więc dopracować stałych odbiorców, a przy tym – jest firmą znaną i uznaną. Więc może liczyć, że sprzeda to co wyprodukuje, a – jak się rzekło – wiele więcej wyprodukować nie może, a i możliwości uczynienia swych produktów jeszcze lepszymi ma ograniczone.

Wiele z produkowanych tu zabawek nie trafia niestety do rąk młodego, polskiego odbiorcy. Obejrzyjmy je więc przynajmniej na zdjęciach. My obejrzeliśmy je na żywo i trzeba przyznać, że wiele z nich, zwłaszcza misie i inne pluszowe zwierzaki, a wśród nich wilczek – maskotka olimpijska – bardzo nam się podobały. Ale widzieliśmy też zabawki – a mianowicie lalki-Murzynki – które zdecydowanie wydały nam się brzydkie.

– My też tak uważamy – mówi wiceprezes Turczyk. – Dlatego od 1 stycznia zmieniamy im główki! **(tok)**

„Świat Młodych” w największej spółdzielni zabawkarskiej w Polsce

PANOWIE TRAPERZY, WKŁADAMY FRAKI!

Ostatnia noc w roku

„Rysie” zebrały się już prawie w komplecie. Pierwszy przybył zastępowy. Przez chiwlę nasłuchiwał, czy nie dojdzie go gwar nadciągających chłopców, po czym uspokojony widać panującą ciszą przystąpił do oglądania otaczających polanę drzew. Przy niektórych zatrzymywał się dłużej i wyciągał coś z plecaka. Ledwo skończył, rozległ się trzask łamanych gałęzi i ukazała się postać Marka.

– Czuwaj! Druhu zastępowy – chłopak wyprężył się w postawie zasadniczej – melduję swoje przybycie.

– Czuwaj! Jak poszło?

– Byczo. Zadania wykonałem wszystkie. Swoją drogą, mógłbyś na przyszłość wymyślać ciekawszą robotę niż rąbanie drewna – Marek przestał być już oficjalny.

– Ktoś to musiał zrobić. A koperta? Przydała się?

– Skąd – oburzył się Marek – proszę, oto cała i nienaruszona. – Przy tych słowach podał zastępowemu czarną kopertę, na której białymi literami było napisane „Ratunek”. – A oto szkic trasy i karta z zadaniami.

– W porządku. Zabieramy się do znoszenia chrustu, za kilka minut zajdzie słońce, a i mróz bierze coraz większy. Trzeba będzie się ogrzać.

Robotę przerywało pojawianie się na polanie kolejnych chłopaków. Każdy z nich opowiadał wrażenia z trasy i oddawał czarną kopertę z nienaruszoną pieczęcią. Powiększająca się gromada szybko zebrała spory zapas chrustu i ułożyła w stos ogniskowy. O zachodzie słońca byli gotowi. Brakowało tylko Andrzeja.

– Chłopaki – odezwał się zastępowy – co prawda każdy z was miał tu dotrzeć inną drogą, ale może któryś widział Andrzeja.

– E tam – Rysiek, najbardziej flegmatyczny z „Rysiów” machnął ręką. – Chłopak jest wysportowany i zahartowany. W lesie radzi sobie najlepiej. To i co mu się może stać. Tylko go patrzeć.

– Pewnie – dodał piegowaty rudzielec w okularach z wystającymi zębami (złośliwi twierdzili, że dla tych zębów nazwany został Aleksandrem) – jeszcze, jak go znam, wymyśli jakiś numer. Zresztą, złego diabli nie wezmą.

Jakby na potwierdzenie tych słów dał się słyszeć coraz wyraźniejszy głos dzwoneczków. Po chwili na polanę wjechały sanki i w kręgu ogniskowego światła pojawił się Mikołaj. Mimo czerwonej czapki z maleńkim dzwoneczkiem, długiej wspaniałej brody i ogromnego kożucha chłopcy natychmiast rozpoznali Andrzeja. Ten, nie zrażony dekonspiracją wygłosił do wszystkich przemówienie, i po chwili z ogromnego wora zaczął wyciągać prezenty. Były to podarunki od zaprzyjaźnionego zastępu „Niezapominajek”, z którym łączyły niektórych „Rysiów” uczucia, nie tylko czysto harcerskie. Po rozdaniu prezentów, a były to wspaniałe ciepłe skarpety, Mikołaj odezwał się znowu.

– No chłopaki – pora najwyższa pomyśleć o puszczy. Każdy z was, o ile mi wiadomo, przynieść miał prezent dla jej mieszkańców.

Chłopcy zachęceni tymi słowami zaczęli wyciągać z plecaków świeczki, kawałki słoniny, skórki od chleba, kolorowe papierowe łańcuchy i gwiazdy. Zawiesili to wszystko na oszronionym drzewku. W nocnej ciszy mroźnego wieczoru, rozbłysnęła światełkami świec pięknie przybrana choinka.

Oprócz prezentów dla ptaków, pod drzewkiem znalazło się jeszcze kilka wiązek siana, parę grudek soli, marchew, trochę owsa i kaszy.

– Panowie – zastępowy starał się być tajemniczy – prezenty, które otrzymaliśmy, pochodzą jak wiecie od dobrych i miłych białogłów. Za to jednak, że w ostatnią noc w roku pamiętamy o puszczy i jej mieszkańcach, czeka nas jeszcze jedna niespodzianka. Niech każdy z was dokładnie i uważnie spenetruje skraj polany. Znajdziecie tam dla siebie upominki. Przynieście je do ogniska, wspólnie je obejrzymy. Zaciekawieni chłopcy rozsypali się wzdłuż linii drzew i po chwili rozległy się głośne okrzyki świadczące o odkryciach. Gdy powrócili do ogniska i rozpoczęli oglądanie podarunków, okazało się, że tym razem zostały one dobrane ze względu na cechy szczególne chłopaków. Aleksander np. dostał ogromny kawał żółtego sera. Marek, największy elegant w zastępie, dostał wodę kolońską, Tomek, najlepszy łazik – tekturowe zelówki a zastępowy, którego czasem pomawiali, że trochę zadziera nosa, otrzymał ramki do oprawienia swojej podobizny.

Gdy świeczki wypaliły się na choince, zastęp rozgrzany harcami przy ogniu, wrócił do sań. Kuligiem, z płonącymi pochodniami, które zapobiegliwy Mikołaj miał na dnie wora, popędzili do leśniczówki. A w leśniczówce ...

W leśniczówce w wielkiej sali myśliwskiej rozjaśnionej świecami przywitały ich dziewczyny. „Niezapominajki” urzędowały tu bowiem od rana. Po przybyciu „Rysiów” przeniosły się do kuchni. Z okopconych garów unosiła się smakowita woń.

– No, moi państwo – zastępowy wlazł na stołek i gestem Cezara wzniósł rękę. – Jest pół do dziewiętnastej. Dziewczyny, chałupa gotowa?

Magda zapewniła, że wszystko jest o'key.

– Wysprzątane, wymiecione, wyszorowane, a i potrawy na biesiadny stół gotowe.

– Byczo jest! – podsumował Marek.

– Panowie – zastępowy zwrócił się do „Rysiów”. – Sala balowa gotowa?

– Od rana, wodzu – odparł zgodny chór.

– W związku ze zbliżaniem się godziny rozpoczęcia balu, zarządzam ostatnie przygotowania. Umyć uszy, wyczyścić paznokcie, wyszczotkować włosy. Panowie przywdziewają fraki, w toaletę pań się nie wtrącam. Ufam, że będzie olśniewająca.

Zastępowy wcale nie przesadził. „Rysie” w wielkiej tajemnicy wypożyczyły w teatralnej garderobie fraki, cylindry i laski z białymi gałkami. Gdy przebrani schodzili po schodach na dół, do sali balowej, w niczym nie przypominali ośnieżonych traperów przedzierających się przez las na miejsce zbiórki.

Przystanęli pod drzwiami, zza których dochodziły dźwięki walca zmieszane ze śmiechem „Niezapominajek”.

Ciekawe, jak też wystroiły się dziewczyny?

ANDRZEJ BANASIK

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

HONDA VF 750 F

W oparciu o podobne kryteria, na podstawie których następują wybory samochodów roku, od niedawna (od 1976 roku) dokonuje się również wyborów motocykli. Patronat nad tymi wyborami sprawuje redakcja zachodnioniemieckiego czasopisma motocyklowego Das Motorrad.

W roku 1982 miano motocykla tego roku zdobył produkt japońskiej wytwórni Honda oznaczony marką HONDA VF 750 F. HONDA roku 1982 jest motocyklem o sportowej sylwetce. Dlatego też cała konstrukcja tego motocykla wywodzi się z rozwiązań stosowanych w motocyklach sportowych Grand Prix. Tym wymogom odpowiada przede wszystkim rama, która ma charakter podwójnej ramy. Wykonana jest z belek stalowych, czworokątnych, o przekroju zamkniętym.

Zawieszenie koła tylnego oparte jest na konstrukcji typu pro-link z jednym amortyzatorem i jedną sprężyną śrubową, które są centralnie zamocowane w stosunku do dwuramiennego wahacza.

Koło przednie zawieszone jest na widelcu teleskopowym, wyposażonym w urządzenie zmieniające skok amortyzatora w zależności od przebiegu procesu hamowania i stopnia obciążenia koła przedniego. W nomenklaturze fachowej urządzenie to zwane jest Anti-Dive-TRAC.

Koło przednie jest mniejsze z oponą o wymiarze 120/80–16, opona koła tylnego posiada rozmiar 130/80–18. Obręcze kół wykonane są z duraluminium i łączone są ze szprychami za pomocą nitowania.

Układ hamulcowy motocykla składa się z dwóch hamulców tarczowych koła przedniego i pojedynczego hamulca tarczowego koła tylnego. Każdy z hamulców wyposażony jest w cztery siłowniki zwiększające skuteczność hamowania.

HONDA VF 750 F wyposażona jest w czterosuwowy, czterocylindrowy silnik typu 4V/90, którego pary cylindrów usytuowane są w kształcie litery „V" pod kątem 90 stopni. W głowicy każdego z cylindrów znajdują się po cztery zawory, przy każdym z cylindrów znajduje się też oddzielny gaźnik typu Keihin. Pojemność robocza silnika wynosi 748 cm sześc, moc 66 kW przy stopniu sprężania 10,5 i obrotach rzędu 10.000 na minutę. Chłodzenie silnika odbywa się za pośrednictwem płynu, który znajduje się w układzie składającym się z dwóch chłodnic, z których jedna umieszczona jest przed ramą motocykla, druga zaś przed pierwszymi dwoma cylindrami.

Napęd od silnika przekazywany jest na koło tylne za pośrednictwem pięcioprzekładniowej skrzyni biegów i łańcucha. Zbiornik paliwa wkomponowany został w linię motocykla, a na jego przedłużeniu znajduje się dwuosobowe siedzenie. Pojemność zbiornika wynosi 22 litry.

Tablica wskaźników osłonięta aerodynamiczną obudową składa się z zegarowych wskaźników, którymi są: prędkościomierz, obrotomierz, oraz wskaźniki temperatury cieczy chłodzącej silnik i zużycia paliwa. W obudowie tej jest umieszczona również przednia lampa oświetleniowa. Dolna część silnika jest również osłonięta aerodynamiczną obudową.

Opisywana HONDA osiąga prędkość maksymalną 216 km/h, przyspiesza od 0 do 100 km/h w czasie 4 sekund, spala od 6 do 7,5 litra paliwa na 100 km.

ZENON DUTKIEWICZ

Hodujemy świerszcze!

KĄCIK PRZYRODY Świat Młodych

Większość amatorów hoduje zwierzęta zaliczane do podtypu kręgowców (*Vertebrata*), do którego należy także człowiek. Łatwiej jest bowiem nam nawiązać z nimi kontakt, zrozumieć ich potrzeby i interpretować ich zachowanie. Jest to o wiele trudniejsze w przypadku bezkręgowców.

Spróbujmy jednak poświęcić im trochę uwagi, hodując jedne z ciekawszych owadów – świerszcze domowe (*Gryllus s. Achaeta domestica*). Nie sprawią nam wiele kłopotów, a ich śpiew – cykanie, do naszego mieszkania wprowadzi nastrój jesiennego wieczoru z czasów gdy w drewnianej chacie świerszcze grały za kominem...

Pomieszczeniem hodowlanym może być puste akwarium, słoik, lub inny szczelny pojemnik na którego dno sypiemy warstwę piasku. W celu umożliwienia rozmnażania wstawiamy tam naczynie z czarną ziemią, którą należy regularnie zwilżać. Kora, drewno, liście i małe pęczki słomy spełniają zadanie dekoracji i dają schronienie około 1,5 milimetrowym młodym świerszczom (świerszcze należą do owadów o niezupełnym cyklu rozwojowym tzn. brak jest stadium poczwarki, a młody jest miniaturą dorosłego). Pokarmem świerszczy są wszelkie rośliny zielone, mąka, ziarno, różne owoce i warzywa, twaróg, suszone mięso. Pokarm podajemy w bardzo małych ilościach, w części terrarium o podłożu piaszczystym (nie na ziemię!). Pamiętamy o zwilżaniu ziemi, gdyż złożone tam podłużne jajeczka są bardzo wrażliwe na wysychanie. Śpiewają tylko samce. Samice mają wystające z odwłoka pokładełko, które przy składaniu jaj wbijają głęboko w ziemię.

Pomieszczenie hodowlane, które musi być przykryte gęstą siatką lub szkłem, stawiamy w ciepłym miejscu, w przeciwnym razie trzeba będzie je doświetlać żarówką o mocy 40–60 Watów.

Opisywany gatunek świerszcza możemy spotkać czasami tam, gdzie jest ciepło i wilgotno, a więc w kotłowniach, pralniach, piekarniach, stołówkach, w kompostowniku, śmietniku itd. Niestety jest trudny do znalezienia, lepiej więc będzie kupić w sklepie zoologicznym lub od hodowcy stadko hodowlane, złożone z kilku samców i samic. Są one często hodowane jako źródło pokarmu dla ptaków egzotycznych, gadów i innych zwierząt w ogrodach zoologicznych.

Inny gatunek świerszcza występujący w naszym kraju na słonecznych polanach i skarpach to świerszcz polny (*Gryllus campestris*). Jest on trudny w hodowli, żyje samotnie w wykopanych przez siebie norkach.

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

A tak wygląda samiec świerszcza polnego. Szczegół różniący te dwa gatunki, najbardziej rzucający się w oczy, to barwa pancerza. Świerszcz polny jest prawie czarny, domowy – koloru brązowego. Polny jest zbudowany potężniej i ma wyraźnie okrągłą głowę

Fot. **Wiesława Mroczek**

Na zdjęciu widzimy samiczkę świerszcza domowego. Możemy ją poznać po wystającym z odwłoka pokładełku, którego brak jest samcom

Fot. **Andrzej Kruszewicz**

Akwarium dla każdego

grudzień

DANIO MALABARSKI ODPOWIADA NA LISTY

NIE WYSYŁAMY!

Mam akwarium i nie mogę kupić do niego grzałki ani roślin. Proszę redakcję o wysłanie mi ich; należne pieniądze przyślę pocztą. **Jacek B., 67-200 Głogów.**

Takich i podobnych listów nadchodzi pod moim adresem bardzo wiele. Prosicie w nich o przysyłanie m. in. książek akwarystycznych, przewietrzaczy i filtrów, drobnego sprzętu, pokarmów, żywych rybek, a także nawet 100-litrowych akwariów. Muszę Was rozczarować: redakcja „Świata Młodych" nie zajmuje się tego rodzaju wysyłką, zakupem, sprzedażą ani pośrednictwem. Żadnych wyjątków i odstępstw od tej zasady robić nie będziemy, chociaż zdajemy sobie sprawę, że istotnie mieszkańcom wsi i małych miast trudno jest nabyć artykuły akwaryjne.

DLACZEGO ZDYCHAJĄ MI RYBKI?

„Akwarium dla każdego" bardzo mi pomogło w hodowli moich rybek, ale teraz jestem w kłopocie: w ciągu tygodnia ginie mi 2–6 rybek. Nie wiem, dlaczego... Wodę zmieniam wtedy, gdy jest brudna lub ma brzydki zapach. **Dorota z Wałbrzycha.**

Podejrzewam, że właśnie ta brudna i brzydko pachnąca woda jest powodem śnięcia Twoich rybek. Nic nie piszesz o bardzo ważnych sprawach, wpływających na czystość wody; np. czy masz sprawnie działający filtr w akwarium, czy systematycznie odciągasz odmulnikiem lub rurką gromadzące się na dnie resztki organiczne, czy masz w akwarium „przewietrzacz", a także – co jest bardzo ważne – czy w Twoim akwarium rosną w odpowiedniej ilości rośliny? Nie piszesz nawet, jakie gatunki rybek są w Twoim akwarium i czy wykazują jakieś objawy chorobowe, więc moja szczegółowsza diagnoza jest raczej niemożliwa. Dam Ci jeszcze jedną radę: częsta zmiana wody nie pomaga, przeciwnie – szkodzi rybom i roślinom, bo niszczy wytwarzającą się w akwarium równowagę biologiczną. Świeża „kranówka" jest np. szkodliwa dla wielu ryb, można ją używać do celów akwaryjnych dopiero po 48-godzinnym „odstaniu". O wodzie napiszę wkrótce szerzej w „Akwarium dla każdego".

MAŁE BIAŁE KROPECZKI

Na początek kupiłem parę mieczyków. Żyły długo, ale po jakimś czasie zaczęły się na nich pojawiać malutkie białe kropeczki. Rybki szybko usnęły. Podejrzewam, że to z powodu wody studziennej, której używam. Proszę o radę – co robić? **Tomasz Młodziński, Jurków, woj. kieleckie.**

Bezpośrednim powodem zachorowania i uśnięcia Twoich rybek nie była woda studzienna, ona tylko sprzyjała rozwojowi choroby. Podejrzewam, że Twoje mieczyki zachorowały na *ichtioftiriazę*. Wywołują ją pierwotniaki, dostające się do akwarium m. in. z roślinami, żywą karmą, ślimakami i atakujące przede wszystkim te ryby, które są osłabione nieodpowiednimi warunkami środowiska – zbyt niską temperaturą wody czy nadmierną jej twardością (w wypadku wody studziennej). Zupełnie początkującym podaję dwie drogi szybkiego działania w wypadku podejrzenia ryb o ichtioftiriazę. Widoczne objawy – to biała wysypka na ciele ryby, niepewne i chwiejne poruszanie się oraz zlepione płetwy. A więc pierwsza droga: udać się do sklepu akwaryjnego, zażądać odpowiednie lekarstwo z przepisem jego użycia i natychmiast je zastosować. Droga druga: poprosić o poradę starszego doświadczonego akwarystę. Przy stosowaniu kuracji warto podnieść temperaturę wody w akwarium do 28–30 stopni.

MOJE BIEDNE BOJOWNIKI!

Kupiłem dwa bardzo ładne bojowniki syjamskie, włożyłem je do akwarium, a na drugi dzień rano stwierdziłem, że jeden z nich nie żyje, a drugi ledwie zipie. Co im zaszkodziło? **Bronek Skarut, Oświęcim.**

„Zaszkodziły" sobie same. Pisałem już kiedyś w „Akwarium dla każdego", że samce-bojowniki nie znoszą się i wsadzone do jednego zbiornika walczą ze sobą (nazwa!) i mogą się nawzajem pozabijać. To właśnie stało się w Twoim akwarium, Bronku. Niektóre inne ryby też walczą między sobą lub atakują osobniki innych gatunków. W „metryczkach" takich ryb, zamieszczanych w naszym kąciku, będę zawsze podkreślał owe cechy. A swoją drogą dziwię się, że w sklepie akwaryjnym, gdzie kupowałeś bojowniki, nie uprzedzono Cię o ich wojowniczości.

Do zobaczenia w następnym wydaniu „ADK" w dniu 12 stycznia 1984 roku.

DANIO MALABARSKI

PRECZ Z OHYDKAMI!

Swego czasu panowała, a do dziś jeszcze gdzieniegdzie pokutuje okropna moda wkładania do akwariów różnego rodzaju kolorowych domków i budyneczków oraz sztucznych ruin sklejonych z cementu, kamienia i muszli. Co gorsza – także różnych figurek – krasnali z wędkami, zwierzątek. Unikajcie tego jak ognia! Akwarium – to kawałek naturalnego świata, nie może być w nim sztuczności.

Kto wśród bojowników syjamskich w wodzie na ryżowym polu widział roześmiane krasnoludki lub porcelanowe wiatraczki? Brr! **(js)**

Pewnego razu...

TAK CZY NIE?

Tylko trzem uczonym udało się odkryć nową planetę: W 1781 r. Anglik Herschel odkrył Urana, w 1846 r. Niemiec Holle – Neptuna, trzecim został w XX wieku Amerykanin Clyde Tombaugh. Koledzy wyśmiewali się z 26-letniego astronoma-amatora z Kansas, kiedy przyjechał do obserwatorium w Flogstaff i wyjawił chęć odkrycia nowej planety, czego nie udało się dokonać samemu Lovellowi, założycielowi obserwatorium.

– Przecież gdyby ta planeta rzeczywiście istniała na niebie – mówili starzy pracownicy – to już dawno byśmy ją odkryli!

– Gwiżdżę na to, czy ona jest na niebie – odpowiadał uparty młodzieniec – ale chce dokładnie wiedzieć: tak czy nie?

I 13 marca 1930 r. otrzymał odpowiedź. Na wykonanym przez niego zdjęciu fotograficznym znalazła się nie znana dotychczas światu planeta, nazwana później Plutonem.

Frederick Wiliam Herschel (15.11.1738 – 25.08.1822), astronom angielski pochodzenia niemieckiego (w Anglii od 1757 r.). Z wykształcenia muzyk – organista i kompozytor, zainteresował się astronomią i wraz z siostrą Karoliną (1750–1848) prowadził obserwacje za pomocą własnoręcznie wykonanych teleskopów (m. in. przez największy wówczas teleskop o średnicy 170 cm zbudowany w latach 1785–89). Herschel odkrył planetę Uran (1781) i dwa jego księżyce (1787) oraz dwa księżyce Saturna (1789). W 1783 r. odkrył ruch Słońca, w 1784 r. określił kształt Galaktyki. Zapoczątkował badania gwiazd podwójnych – odkrył je i skatalogował ponad 800! Opracował obszerne katalogi mgławic i gromad gwiezdnych.

(kg)

Traktor z „oczami"

GRUZJA (PAI). Specjaliści gruzińscy opracowali automatyczny system optyczny pomagający kierować pracą ciągnika. Urządzenie składa się z czułej fotokomórki rozpoznającej ukształtowanie terenu. **(jo)**

Bakterie oczyszczają ścieki

ZSRR (PAI). Gruzińscy uczeni wyhodowali nowy gatunek bakterii, które oczyszczają ścieki przemysłowe z substancji toksycznych, stanowiących ich pożywienie. Dzięki żółtopomarańczowym bakteriom, ścieki z Rostowskiego Zakładu Chemicznego stają się tak czyste, że mogą być ponownie wykorzystane w procesach technologicznych. **(jo)**

RZEPKLUB

Autorką mego portretu jest Ewa Łapińska, którą zapisuję do Rzepklubu. Cały jestem wiosenny na tym portrecie, co mnie zdecydowanie odróżnia od tych bałwanów (obok).

Redaguje Włodzimierz Lewiński

Cześć!

ŻYCZĘ WAM WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO W NOWYM ROKU! Niby banalne te życzenia, a gdyby się spełniły... kołysalibyście się teraz w hamaku, pod palmą, na rajskiej wyspie wśród ciepłego oceanu. Właśnie czytalibyście kolorowe bajki o złym Kryzysie i czterdziestu zbójach, jedząc bakalie, pomarańcze i banany, zagryzając to wszystko holenderską czekoladą! Nigdzie na świecie nie byłoby ani jednej bomby, nikt nie celowałby do nikogo, a wszyscy uśmiechaliby się do siebie...

Gdyby spełniły się życzenia!

Wybieralibyście się właśnie na Noworoczny Bal w Pałacu Prezydenta Nastolatków, gdzie za sprawą Nadwornego Czarodzieja zjechały się z całego świata najwspanialsze zespoły...

Do zobaczenia w Nowym Roku!

Wasz Rzep

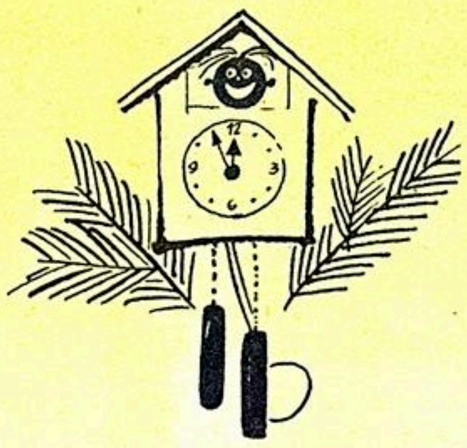

– Na pana miejscu zrezygnowałbym z tych głupich ambicji i zostałbym bałwanem..

wane przez innych, znane mi tylko z opowiadań, opisów czy lektury, zdarzenia współczesne i dziejące się przed wiekami, wszystkie pragnienia, lęki, oczekiwania jakie kiedykolwiek mogły nawiedzać ludzkość zaczynały dziać się za moim pośrednictwem; w jednym momencie mogłem być sobą, Einsteinem, Montezumą, prowadzonym na stos Galileuszem, Aleksandrem Wielkim, pilotem kosmicznym, O'Neilem w swojej pracowni i neandertalczykiem, żołnierzem rannym w którejś z minionych wojen i szczęśliwym kochankiem; ich losy, ich uczucia, myśli ożywały na nowo przeze mnie i dla mnie.

Na te kłębiące się w moim mózgu przeżycia, będące jakby projekcją tego co mogłem w czasie krótkiego, osobniczego istnienia jednostki mego gatunku poznać, zrozumieć, zapamiętać i wchłonąć – bo nigdy nie dowiadywałem się niczego nowego, wszystko co przeżywałem, wiedziałem przedtem – patrzyłem jednocześnie rejestrująco i chłodno, jakbym oglądał to całkiem obcym spojrzeniem. Nie, nie tak: jak gdyby moje oczy potrzebne były innej, niepojętej Istocie, by mogła nimi dostrzegać, choć ani odczuć, ani zrozumieć nie potrafiła, tylko po to by – obojętnie, bez osądzania, aprobaty lub potępienia – zobaczyć rzeczy, które bez takiej pomocy, bez mojego widzenia nie byłyby dla niej do poznania możliwe.

Jak można być jednocześnie myślami, przeżyciami całego tłumu ludzi i nie oszaleć? Nie oszalałem, każdego ranka potwierdzają mi to od nowa badania psycho-diagnostyczne. Jak można być w jednej chwili oglądanym i oglądającym? Czy tu, na Ziemi, może istnieć taki rodzaj energii, której działanie na mózg człowieka może czynić z nim to wszystko – i nie zabić? Jeżeli tak, dlaczego dotąd ludzkość nie spotkała się z jej działaniem? Dlaczego ów strumień siły ujawnia się jedynie w tym punkcie naszego globu?.

Dobrze – załóżmy, że to jest Kontakt. Z istotami kosmicznymi jak chciałby tego Irving, lub podmorskimi, jak się spodziewa Auboyer; byłby to Kontakt odbiegający od wszelkich naszych oczekiwań i wyobrażeń. Od stu pięćdziesięciu lat ludzkość spodziewa się Spotkania, liczy się z nim, na falach międzygwiezdnego wodoru wysyłając w przestrzeń wezwania, na które – jak dotąd – nie odpowiedział jej nikt. Przypuśćmy, że myliliśmy się sądząc, że nastąpi ono w Kosmosie, nie tu, na naszej własnej planecie i że – jakkolwiek będzie wyglądać – będzie to jednak zetknięcie się dwóch, choćby nawet najbardziej odmiennych Istot. Ale czy to możliwe, aby ten inny Rozum miał być aż tak kaleki, tak ślepy, by w warunkach nieznanego mu świata – już nie po to, by zmieniać w nim cokolwiek, lecz po prostu go poznać – potrzebował świadectwa danego przez nas samych? By – aby widzieć – musiał używać naszych oczu?

4 lipca 2084 r.

Bardzo stare karaibskie przysłowie mówi: „na huragany w czerwcu za wcześnie, w lipcu bądź przygotowany, w sierpniu przyjść muszą". Mimo to wciąż jeszcze utrzymuje się wspaniała pogoda; błękitne niebo i lśniący szkliście ocean stwarzają wokół „Ariadny" złudzenie bezpieczeństwa, wypoczynku, spokoju.

Dziś, po raz pierwszy od dnia śmierci Martina widziałem Rasa Sâliha i mało brakowało, a nie byłbym go poznał. Posiwiał, a jego wielkie i muskularne ciało straciło swoją elastyczność i giętkość; w niczym nie przypomina już teraz zuchwałego, średniowiecznego pirata, beztroskiego, rozkoszującego się samym faktem istnienia drapieżnika, z jakimi kojarzył mi się kiedyś. Szedł, przygarbiony, niechlujny – jak czasem bywają bardzo starzy ludzie w jego rodzinnym kraju – lekko powłócząc nogami; prowadził z sobą psa, którego przywiozłem z „Armstronga" i darowałem Thei – podobno przywiązał się do niego nieomal chorobliwie w ciągu tych kilku dni, spędzonych w zamknięciu swojej kabiny. Na mój widok przystanął, podniósł głowę i kilka minut przyglądał mi się z takim natężeniem w twarzy, jak gdybym był człowiekiem spotykanym po wielu latach, a znanym kiedyś, w bardzo odległych już Czasach. Spróbował się uśmiechnąć; było to raczej bolesne skrzywienie na wychudzonej i zarośniętej twarzy; w jaskrawym słońcu zobaczyłem wyraźnie siwe włosy w kilkudniowej szczecinie. A potem podniósł rękę – także wychudłą, drżącą, z przykurczonymi starczo palcami i dwukrotnie przesunął nią po oczach, jak gdyby coś z nich ścierał; kiedy myślałem już, że pójdzie dalej wymijając mnie bez jednego słowa, odezwał się chrapliwie, z tępą, niemożliwą do opisania rozpaczą:

– On już nie mógł mieć tlenu...

Miałem ochotę odwrócić się i uciec, przemogłem się jakoś. Ras patrzył na mnie z napięciem, wytężając wzrok jakbym znajdował się bardzo daleko. Poruszył znowu ustami, powiedział coś bezgłośnie i dopiero po chwili, jakby potrzeba mu było czasu by pojąć, że wciąż nic nie powiedział, powtórzył.

– Pan jest fizykiem, prawda? Pan musi wiedzieć. Czy on... Gdybym zawrócił... Gdybym go szukał dalej... Czy on żył jeszcze? Czy mogło mu na tak długo wystarczyć tlenu?

Cdn.

PRZYGODY JONKI, JONKA I KLEKSA:

PIÓRO contra FLAMASTER

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PAWEL

12

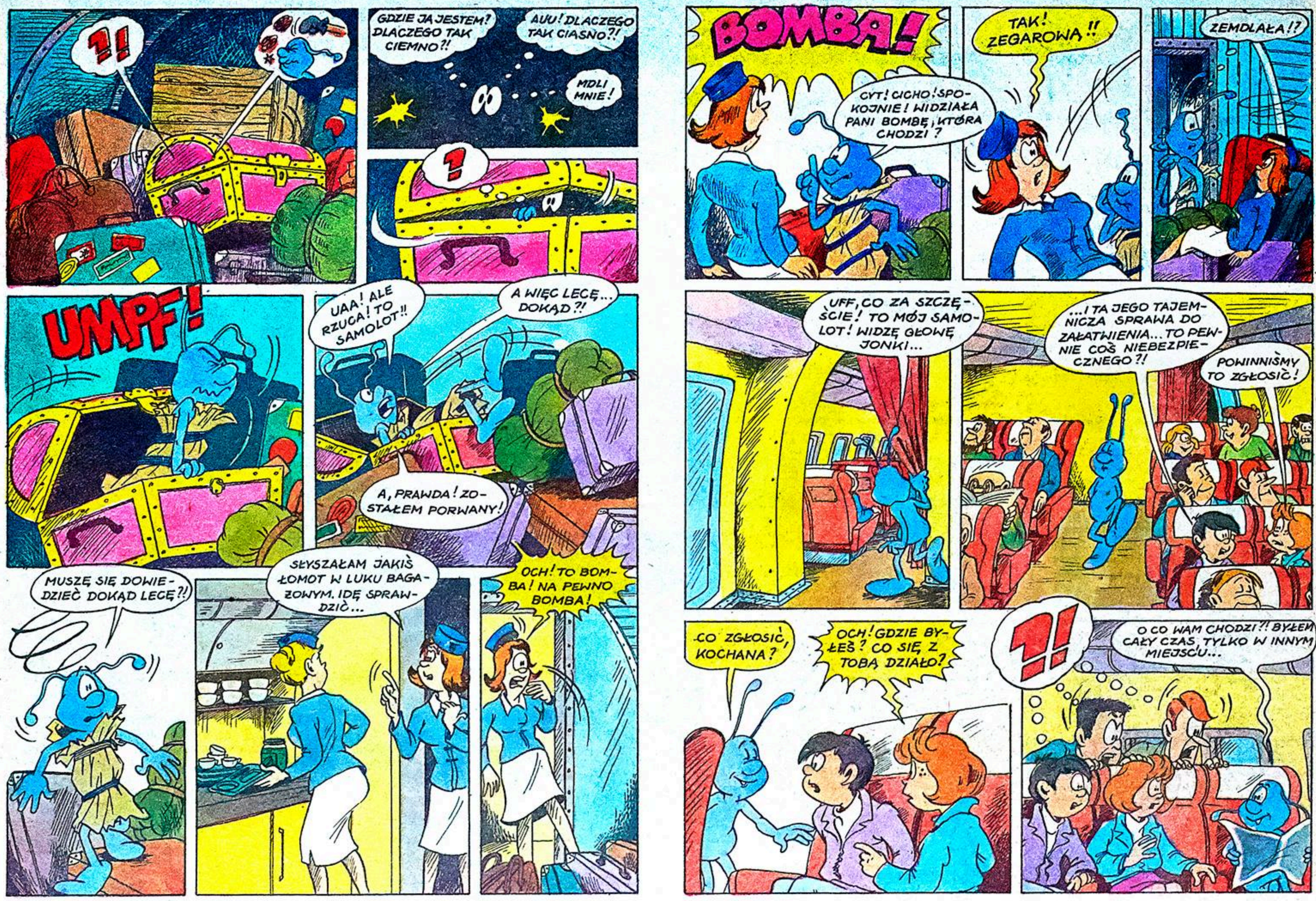

ŚWIAT MŁODYCH
MARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się we WTORKI CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13. 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)

TELEX 81-36 58.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak
Korekta: Barbara Wasilewska
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 5038/G. M-93

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– CZY WIESZ, że co piąty człowiek osiąga wysokość 180 centymetrów?
– Wiem, on zawsze siada przede mną w kinie!

★

NOWAKOWSKI przejechał niechcący kota sąsiadki. Bardzo gęsto się tłumaczy i przeprasza, dodając:
– Chciałbym to pani jakoś wynagrodzić...
– Oj, panie Nowakowski, myszy to pan i tak łapać nie potrafi...

To brzmi koszmarnie, gdy staram się określić ten stan słowami, ale w rzeczywistości nie budzi on ani lęku, ani przykrości; przyjmuje się towarzyszące mu wrażenia jak coś oczywistego.

Potem, w sferze psychicznej, zaczyna dziać się to, co – w fizycznej, materialnej formie – zdarza się z chwilą zjawienia „sobowtórów"; tak jak człowiek wówczas rozłamuje się na kilka, istniejących w jakiś sposób realnie i obok siebie postaci, tak tu osobowość dzieli się na – nieskończoną niemal – ilość wariantów, jak gdyby wszystkie cechy, posiadane, i te które nigdy nie mogły się rozwinąć, dochodziły do głosu; nie jestem już jednym sobą, pojedyńczą, znaną mi osobowością, lecz jakby kłębem istot biorących ze mnie początek, istniejących jednocześnie ze mną prawdziwym, czy ze mną „pierwowzorem". W jednym momencie mogę być sobą dorosłym przeżywającym znowu rozpacz po śmierci Kris, sobą siedmioletnim oczekującym na powrót rodziców z holoteatru w zmierzchu, na schodkach naszego domu i sobą nigdy nie zaistniałym... powiedzmy, wykładającym paleobotanikę na Uniwersytecie Archimedesa na Księżycu, albo zabijającym innego, nigdy mi nie znanego człowieka, przy czym wszystkie uczucia i wrażenia odbierane jednocześnie przez owe moje wcielenia, których jest znacznie więcej niż cztery, są tak samo dokładne: rozpacz, uczucie oczekiwania, dziecinnej tęsknoty i smutku, zniecierpliwienie na wiercącego się w ostatnich rzędach studenta, nienawiść. Tak samo jak nie różnią się w swej intensywności wszelkie inne, odbierane przez każdą z tych osobowości doznania; duszne powietrze nad rozpalonym pokładem ratowniczego statku, szorstki i chłodny dotyk muru, nieco cierpkawy zapach pnącego się po nim dzikiego wina, który przez całe moje dzieciństwo bezbłędnie rozpoznawałem nawet w ciemności, śliska gładkość blatu stolika wykładowcy, ręce mordowanego przeze mnie, usiłującego oderwać moje... Jeżeli podejść do tego w miarę chłodno, co nie zawsze jest łatwe, można powiedzieć, że w snach tworzy się nowa, nigdy naprawdę nie zaistniała rzeczywistość, pomieszana ze zdarzeniami już przeżytymi, w rozmaity sposób odległymi w czasie od momentu zawierającego teraźniejszość śniącego; jak gdyby ktoś, patrząc wstecz na nasze życie, aż do ledwie zapamiętanych chwil najwcześniejszego dzieciństwa, nie tylko urealniał już przeminione, lecz „naprawiając" „niedopatrzenie" jednej i tylko raz przeżytej rzeczywistości, odnajdował te miejsca, w których dalsze przeżycia, czyny, zostały zdeterminowane na tyle, że pozbawione owej determinanty mogły przebiegać całkiem inaczej. I jakby – po to, żeby zrozumieć, móc porównać w działaniu ten sam psychiczny mechanizm – podsuwał mu tę drugą, setną, tysięczną, już nie zdeterminowaną lub zdeterminowaną inaczej rzeczywistość, oprócz jednego, możliwego dotychczas wariantu „mnie" ofiarowując nieskończoną ich liczbę – hipotetycznie istniejących jak gdyby obok siebie, chociaż nigdy nie zrealizowanych.

Mówię „ktoś", bo – śniąc – przez cały czas ma się świadomość obserwującej, czujnej, jakby oczekującej na coś, cierpliwej Obecności, czegoś tak ogromnego i nieskończonego, że ludzka wyobraźnia nie jest w stanie mu sprostać; to Niepojęte przenika wszystko co dzieje się we mnie i ze mną. I jakby jedna istota ludzka nie wystarczyła, by zaspokoić tę przeogromną Ciekawość, jak gdyby wszystkie uczucia, stany dostępne jednemu człowiekowi, tworzące ten obłędny kalejdoskop zdarzeń przyżytych czy tylko pomyślanych, możliwości, pragnień dotychczas najzupełniej mi obcych to było jeszcze za mało, stawałem się nie tylko zwielokrotnionym sobą – rzeczy przeży-

Dokończenie na str. 7